NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi:
Kwartalnie 4 kor. — 4 Mrk — 1 Rsb. 80 kop z przesyłką pocztową 2 Rsb. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8 Mrk. 3 Rsb. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rsb 20 kop Rocznie 16 kor. — 16 Mrk.— 7 Rsb. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA I ADMINISTRACYA KRAKÓW, ZACISZE 7. Nr. TEL 479.

Redaktor: STANISŁAW LIPIŃSKI.

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, Warszawa, Aleje Jerozolimskie 78.
Prenumeratę przyjmują Biura UNGRA w Warszawie, Wierzbowa 8 i Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi

Numer pojedynczy kosztuje 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Rok V. Kraków, 15 sierpnia 1908. Nr. 33.

Walka z lwem.

(Treść na str. 2).



Walka z lwem.

(Do illustracyi tytułowej).

Prawdziwie amerykański wypadek wydarzył się niedawno w mieście Reading, w Stanie Pensylwania Ameryki Północnej. Do miasta tego zawitał cyrk połączony z menażeryą. W chwili gdy wozy z urządzeniem, trupą i zwierzętami znajdowały się w śródmieściu, jeden z wozów uległ wstrząśnieniu, skutkiem czego klatka z lwem otwarła się a „król zwierząt“ ujrzał się niespodziewanie oswobodzonym z niewoli. Wydał więc donośny, pełen zadowolenia ryk i jednym susem znalazł się na ulicy, przepełnionej przechadzającą się publicznością.

Przelatując w szalonym pędzie wzdłuż kilku ulic, wywołał panikę nie do opisania. Przerażona publiczność kryła się w popłochu po domach. Lew, poczuwszy wolność, pędził dalej, aż wreszcie jednym skokiem przesadził wysokie sztachety żelazne ogródka, przylegające do domu jednego z miejscowych obywateli. W tej chwili nadszedł policyant, Henryk Ennis, a niezważając na ostrzeżenie dozorcy cyrkowego, by się nie ważył tam wejść, gdyż lew go rozszarpie, nacisnął tylko silnie hełm na głowie, a ująwszy swą pałkę, wszedł do ogródka, by zmierzyć się z królem pustyni. Lew, wydając ryk przeraźliwy, szykował się właśnie do skoku, gdy policyant uderzył go bardzo silnie pałką w koniec nosa. Lew uderzony, rycząc, usunął się na bok, po chwili jednak dał powtórny skok, z równą jednak siłą i zręcznością został uderzony pałką po nosie. Widząc, że ma godnego zapaśnika, opuścił łeb, w spokoju powrócił i w pokornej postawie ukrył się w kąciku pod schodami. Policyant zawołał wtenczas na dozorców, aby pokonanego lwa zabrali, ci przystawili klatkę do drzwi, co widząc lew, natychmiast sam wszedł do klatki. Licznie zgromadzona publiczność urządziła odważnemu policyantowi owacyę.

Rycina nasza na stronie tytułowej przedstawia chwilę, gdy policyant Ennis mierzy pałką swą w łeb „jego królewskiej mości“.

Katastrofa balonu hr. Zeppelina.

(Do illustracyi na str. 9).

Od czasu katastrofy francuskiego balonu wojskowego *la Patrie*, wszystkie pisma europejskie przepełnione są wiadomościami o postępach aeronautyki, w której na pierwsze miejsce wybił się niemiecki żeglarz napowietrzny, hr. Zeppelin, którego też społeczeństwo niemieckie zaczęło uważać za jakiegoś bohatera narodowego; stąd te owacye, jakie mu na każdym kroku urządzano. Flagi o barwach narodowych i dziesiątki tysięcy ludzi witały wszędzie jego przejazd, który miał być podstawą powietrznej potęgi cesarstwa niemieckiego.

Tymczasem spełniło się przysłowie, „że fortuna kołem się toczy“, bo oto 6 sierpnia doniosły telegramy wieść, która wstrząsnęła całymi Niemcami, że w Echterdingen o godz. 3 popołudniu zerwała burza balon hr. Zeppelina z kotwicy. Balon uniesiony wiatrem zapalił się w górze i eksplodował, ulegając zniszczeniu, przyczem i kilka osób odniosło rany, sam zaś wynalazca wyszedł z katastrofy bez szwanku.

Bezpośrednia przyczyna katastrofy nie jest jeszcze wyjaśnioną, nie wiadomo bowiem, w jakim stanie wylądował balon pod Echterdingen (Wirtembergia). Hr. Zeppelin twierdzi, że odbyło się ono spokojnie, a spowodowane było okolicznością, że metal pewnego łożyska, skutkiem nadmiernego tarcia, uległ stopieniu.



Prezydent Falliéres w podróży: W parku Voxenhollen. Prezydent Falliéres, królowa Maud, królewicz Olafi, król Haakon. (Do artykułu na str. 7).

Według najczęściej powtarzanych pogłosek, silny wiatr, który targał źle umocowanym balonem, wzniósł go na chwilę w górę i szamotał nim tak, że balon kilkakrotnie zawadzał o drzewa. Następnie silniejszy podmuch wiatru poderwał balon do góry, a wówczas statek powietrzny, jako nierównomiernie obciążony, poszedł nagle w dół i przednią częścią uderzył o ziemię, przybierając prawie prostopadłe położenie. W tej chwili miał wybuchnąć rezerwoar z benzyną — usłyszano silny huk i ujrzano płomyki, które wężykowato lizały powłokę balonu. Żołnierze trzymający statek na linach, wskutek siły wiatru musieli puścić sznury, balon płonąc wzniósł się i wkrótce opadł na ziemię. Według innych informacyj eksplodował przy uderzeniu o ziemię motor, znajdujący się w przedniej części łodzi.

Dla szowinizmu niemieckiego jest to klęska niepowetowana, złote nadzieje zdobycia powietrza spełzły na niczem, ale zarazem dowód też niezbity, że statki powietrzne, lżejsze od powietrza, nie mogą się nigdy poruszać pewnie w powietrznym żywiole, ale zawsze zależne są od warunków zewnętrznych, które nierzadko działają niszcząco.

Z tyloletniej pracy sędziwego aeronauty pozostała jedynie kupa pogiętych konstrukcyj żelaznych; lecz to nie zraziło wynalazcy, owszem przy wydatnej pomocy niemieckiego społeczeństwa przystępuje Zeppelin do budowy nowego balonu „Zeppelin Nr. 5“, który w pewnych częściach, wzorowanych na balonie angielskim *Nulli secundus*, wykonany zostanie w angielskich warsztatach w Highbury.

Cesarz Wilhelm nadesłał naturalnie depeszę kondolencyjną, w ślad za nim pospieszyli i inni panujący, należący do Rzeszy niemieckiej z wyrazami ubolewania, zagranica zato cieszy się klęską pruskiej pyszałkowatości.

Illustracya nasza przedstawia balon w chwili katastrofy, gdy porwany siłą wiatru unosi się w powietrze.

Z Teheranu.

Stolica szacha perskiego, Teheran, miasto położone u stóp góry Elbrus, charakterem swoim nie przypomina wcale miast europejskich. Wznoszą się tu wprawdzie liczne monumentalne budowle, naprzykład wspaniały pałac szacha, arsenał, meczety, łaźnie, karawanseraje, budynki ambasad obcych mocarstw, ale życie arystokracyi koncentruje się głównie w okolicy Teheranu, gdzie wśród wspaniałych ogrodów widnieją tu i ówdzie letnie rezydencye bogatych Persów. Dlatego też i liczba ludności Teheranu ulega ciągłym wahaniom, w lecie wynosi około 80.000, na zimę zaś, gdy część letników powróci z willegiatury do miasta, podnosi się do 120.000.

Ponieważ Teheran jest punktem krzyżowania się wielu ważnych dróg handlowych, dlatego też i handel tego miasta jest bardzo ożywiony, najczęściej też zjeżdżają tu i Europejczycy, czy to za interesami, czy też europejscy turyści, stąd też Teheran jest z miast perskich stosunkowo najlepiej znany Europie.

Właściwie znamy Persyę dokładniej dopiero od początków XIX. stulecia, gdy stała się ona terenem rywalizacyi o pierwszeństwo wpływów Anglii i Francyi. Ze zmia-



Prezydent Falliéres w podróży: Przechadzka w Voxenhollen obok Chrystyanii. Na pierwszym planie król Haakon z synkiem Olafem, dalej prezydent Falliéres i królowa Maud, a za nią minister francuski Pichon. (Do artykułu na str. 7).

ną stosunków politycznych w Europie na gruncie perskim ścierają się obecnie wpływy rosyjskie i angielskie, i temi drogami dochodzą do Europy wiadomości o państwie króla-królów.

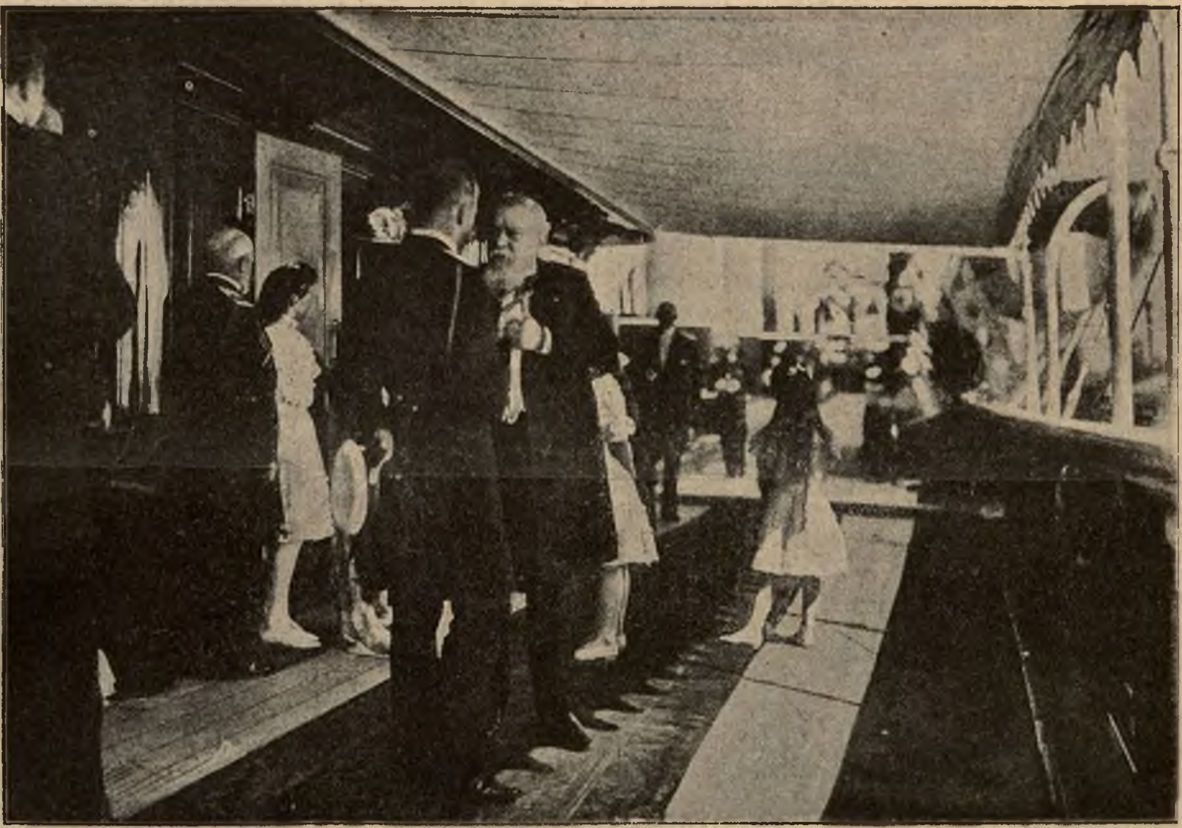
Ludność perska w małej tylko liczbie jest potomkami owych strasznych starożytnych Persów, Medów i Baktryjczyków, większość stanowią różne napływowe szczepy, głównie tureckie. O ile osiadła ludność zajmuje się uprawą roli, przemysłem i sztukami, o tyle przybysze prowadzą przeważnie życie koczownicze, przenosząc się ze swojemi trzodami z miejsca na miejsce.

Charakter ludności pozostawia wiele do życzenia. Persowie mają usposobienie skłonne do kłamstwa i lekkomyślne, okazują bardzo mało osobistej odwagi, natomiast posiadają wybitne zdolności wyuczenia się obcych języków, kochają swój język i dumni są wobec Europejczyków ze sławnej przeszłości swojej ojczyzny, o której opowiadają wiele podań i legend.

W bieżącym numerze podajemy kilka ilustracyj, odnoszących się do stosunków perskich.

Powszechnie znanem jest podróżnikom europejskim stare działo: *Top Marwari*, stojące od lat wielu przed ogrodami pałaców szacha. Opornych poddanych, którzy w czemkolwiek sprzeciwili się woli władcy, przywiązywano do wylotu lufy i w ten sposób tracono.

Na drugiej illustracyi widzimy grupę aktorów perskich, na trzeciej dom bogatego Persa, ozdobiony flagami i lampionami, z okazyi zbombardowania parlamentu. Widocznie właściciel należy do reakcyonistów. Na ostatniej wreszcie rycinie przedstawiony jest pochód kozaków, stanowiących obecnie gwardyę przyboczną szacha perskiego, przez ulice Teheranu.



Prezydent Falliéres w podróży: Na pokładzie Standartu. Cesarz Mikołaj II. podczas rozmowy z prezydentem Falliéres'em. (Do artykułu na str. 7).



Prezydent Falliéres w podróży: Na pokładzie Standartu; w pierwszym rzędzie cesarzowa rosyjska, cesarz Mikołaj II. i prezydent Falliéres. (Do artykułu na str. 7).

Nowy poseł bukowiński.

Polonia bukowińska wysłała do sejmu krajowego w Czerniowcach w miejsce byłego posła Bohdanowicza, jednego z najmłodszych swych polityków, dr. Kajetana Stefanowicza. Nowego posła polskiego w sejmie bukowińskim oczekują zadania bardzo ciężkie i poważne. Jako bowiem jedyny zastępca ludności polskiej na Bukowinie, obejmuje dr. Stefanowicz trudną misyę, nietylko obrony praw polskiej ludności miejscowej, ale i misyę pośredniczenia między tamtejszemi partyami politycznemi. Misya to obecnie o tyle trudniejsza, iż spory partyjne przybrały na Bukowinie — za przykładem zresztą innych krajów monarchii austryacko-węgierskiej — formy bardzo ostre. Jeśli więc młodemu posłowi uda się przyczynić do ich załagodzenia, będzie to niemałym dlań tryumfem.

Dr. Stefanowicz, mimo młodego wieku, wyrobił już sobie opinię polityka wytrawnego i statecznego, oryentującego się doskonale w najtrudniejszej nawet sytuacyi. Urodzony na Bukowinie, studya kończył w Theresianum, następnie zaś uczęszczał na uniwersytety w Wiedniu, Berlinie, Lipsku i Pradze. Uzyskawszy w Pradze stopień doktora praw, poświęcił się następnie szczegółowym studyom z zakresu nauk społecznych i ekonomicznych, równocześnie zaś objął zarząd dóbr rodzinnych. Mieszkając stale w Czerniowcach, dał się też poznać w życiu publicznem i przy ostatnich wyborach do rady miejskiej został wybrany jej członkiem. Wnet potem powołano go na wiceprezydenta Banku krajowego bukowińskiego.

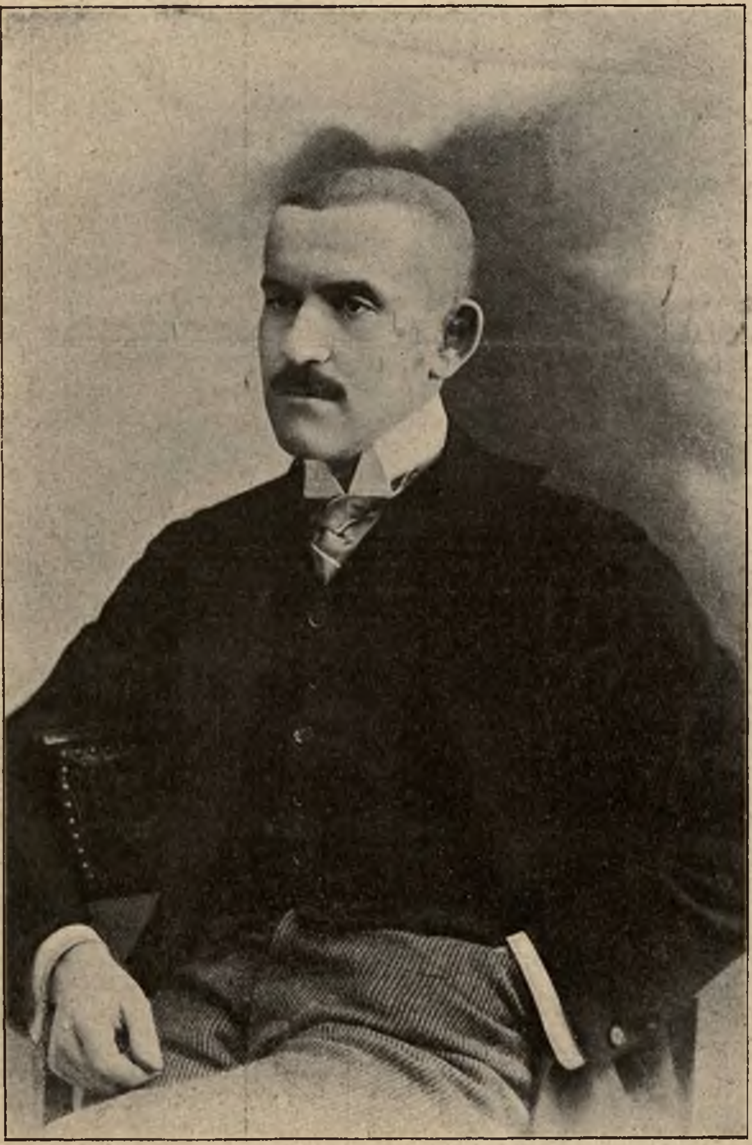
Zaszczytny wybór na posła sejmowego da młodemu politykowi sposobność do spróbowania sił na szerszej widowni.



Prezydent Falliéres w podróży: Na morzu pod Rewlem. W głębi jacht Standart, obok dwa małe statki francuskie.

Zgon pruskiego dygnitarza.

W Berlinie zmarł w ubiegłym tygodniu szef gabinetu cesarskiego, tajny radca dr. Lucanus uległszy atakowi apoplektycznemu.



Nowy poseł bukowiński: Dr. Kajetan Stefanowicz.

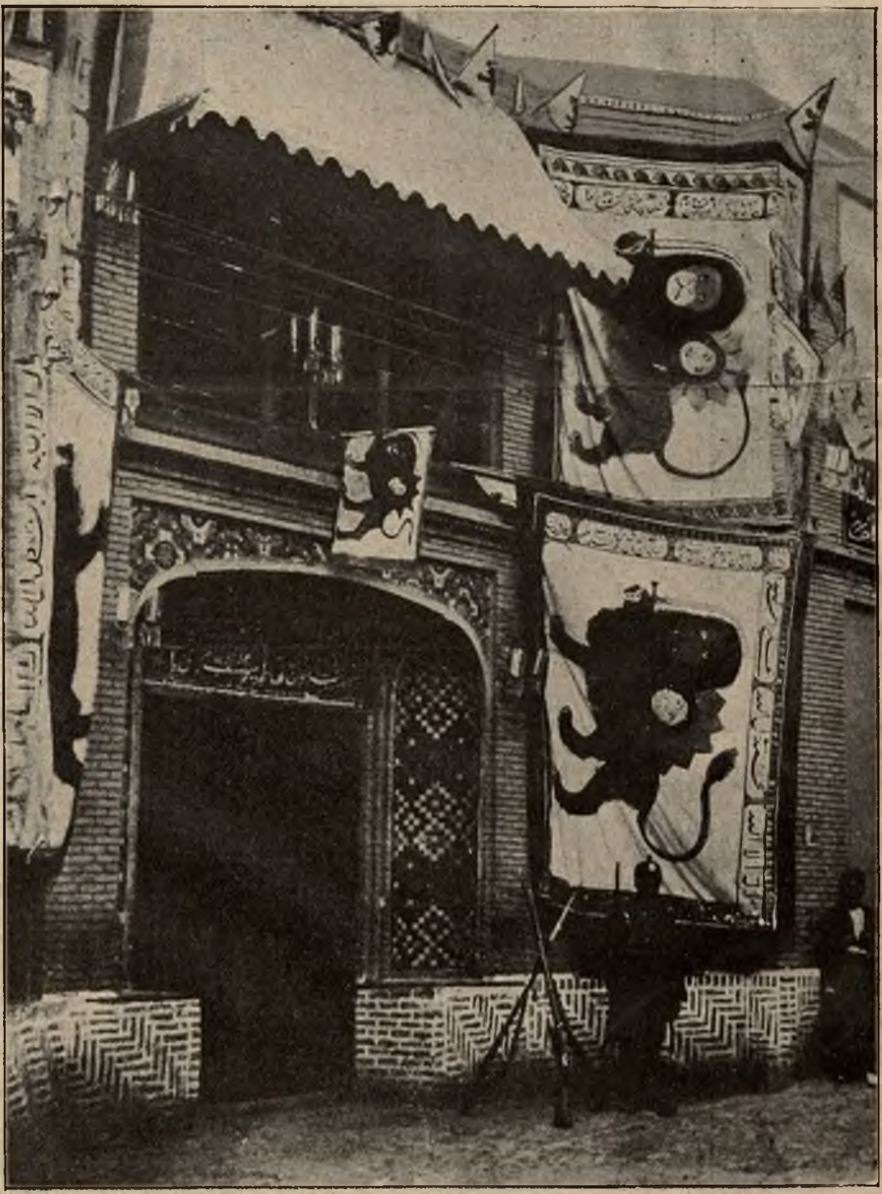
Dr. Lucanus urodził się w r. 1831 w Halberstadt, liczył więc w chwili śmierci 77 lat życia. Karyerę swoją rozpoczął w r. 1854, wstąpiwszy do służby rządowej jako auskultator sądowy, w r. 1859 przeszedł do ministerstwa oświaty, w r. 1886 został rzeczywistym tajnym radcą, a w dwa lata później radcą gabinetowym i szefem tajnego cywilnego gabinetu cesarskiego.

Zmarły cieszył się nieograniczonem zaufaniem swego monarchy, którego jednak, przyznać musi każdy nawet niechętny, nigdy nie nadużył, gdyż jako człowiek z charakterem nie brał nigdy udziału w żadnej intrydze.

Jednym z jego obowiązków, dzięki któremu stał się sławnym, było zawiadamianie ministrów o ich dymisyi, co nawet zjednało mu humorystyczne przezwisko „śmierci ministrów". On to w swoim czasie zawiadomił Bismarcka, że jego dymisya została przez cesarza przyjętą.

W stosunku do Polaków nie odznaczał się szczególniejszą życzliwością, przyznać jednak trzeba, że nie był wcale zapalonym i zajadłym hakatystą.

Mimo sędziwego wieku wytrwał do ostatnich dni swego życia na stanowisku i dopiero śmierć zmusiła go do ustąpienia.



Z Teheranu: Pałac Persa, zwolennika reakcyi, ozdobiony z powodu zburzenia parlamentu.

W numerze dzisiejszym *Nowości Illustrowanych* zamieszczamy portret zmarłego dygnitarza.



Z Teheranu: Pochód kozaków, nadwornej gwardyi szacha.

Tajemnice wielkiego świata.

POWIEŚĆ.

Napisał Czesław Radomski.

CZĘŚĆ PIERWSZA.

9

(Ciąg dalszy).

— Mój dobry Protazy, chciej wierzyć, że czuję się prawie zdrowym, że jestem zupełnie spokojny, więc słuchać mogę... Przyrzekam ci, że sam mówić nie będę... ty jednak musisz mi opowiedzieć wszystko...

— No, no! wszak i Marczak rzekł, że opowiadać mogę... ino nie wiem, skąd zacząć. Czy panicz chce, żebym rozpoczął od owego strasznego wieczora, co to?...

— Tak, tak... od owego wieczora...

— Widzi panicz, ja już oddawna kłopotałem się paniczem i byłem o niego bardzo niespokojny. Mówiłem sobie: ta łódka, to pływanie rankami jeszcze przed świtem, to coś znaczy, a może i niedobrze znaczy, bo nad Wisłą mieszkają i włóczą się różne podłe ludzie. Czasem i na samej Wiśle także się tacy trafiają... więc myśląc to sobie najmowałem też kiedy niekiedy łódeczkę u znajomego rybaka i ruszałem z daleka... z daleka za paniczem. Nie podpływałem aż do miejsca, w którem łódź pańska się zatrzymywała, ino przybijałem do wysokiego, urwistego brzegu, trochę poniżej, za kępką wikliny, która mnie ukrywała doskonale... Aż tu raz przed północą powiada panicz do mnie: „Popłynę na Saską Kępę“. Et! myślę sobie, to nie na Kępę, ino na pewno, jak zwykle do Sielanki...

— Ale nic nie powiedziałeś nikomu? — zapytał Zygmunt przerażony.

— Nic, nic... Wszakże panicz mi tak kazał, gdy go zabierałem z pod muru...

— Leżałem pod murem?

— Proszę nie gadać! Niech panicz będzie cicho!... Przeczuwałem niebezpieczeństwo, ale człowiek chociaż już niemłody, zawsze jeszcze głupi. Ukryłem się za daleko, o tysiąc przeszło kroków od ogrodu i dworu. Mówiłem w duchu sobie: „Byleby go nie złapał na gorącym uczynku jaki mąż zazdrosny“.

— Tak, tak... to był mąż zazdrosny — przerwał Zygmunt, ciesząc się, że może Protazego w błąd wprowadzić i ukryć przed nim prawdę.

— Cokolwiekbądź straszny niepokój ścisnął mi nagle serce w piersiach, więc cichutko podpływam, podpływam... i widzę, że panicz leży na drodze, po której chodzą zwykle ci, co holują berlinki i galary. Ja, stare, głuche bydle, nie słyszałem ani wrzawy żadnej, ani szczęku broni. W pierwszej chwili chciałem wołać o pomoc, wnet jednak zastanowiłem się, że nie trzeba, bo z takiego dworu, po tem co się tam stało, pomocy spodziewać się nie mogę... Tymczasem panicz odzyskiwał po trosze przytomność i szeptał: „Zabierz z sobą... Chcę umrzeć u siebie... Powiedz, że mnie znalazłeś w łodzi, ale nie tu... ino pod Saską Kępą... bo niema nikt wiedzieć, że tu...“ No i zemdlałeś. Wtedy przeniosłem cię do twojej łodzi, do której uczepiłem moją. Gdy zaś z niemałym trudem dobiłem do brzegu na Pradze niespostrzeżony przez nikogo, poszedłem do znajomych rybaków, mieszkających opodal i przy ich pomocy przeniosłem cię tutaj.

— A policya... czy dowiedziała się zaraz?

— Pojmuje panicz, że takiej rzeczy w sekrecie utrzymać się nie da. Zaledwie wysłałem kucharkę po lekarza z przeciwka, a już komisarz się zjawił. Na szczęście byłem jedynym świadkiem, bo jaśnie oświecona babcia, która całą noc spała, nie mogła nawet przecie wiedzieć, kiedy panicz i ja wyszliśmy z domu. Co prawda miałem wielką ochotę wyznać prawdę, bo to... bo to pchnięcie w piersi można oberwać uczciwie w pojedynku... ale ta rana z tyłu, to podłość, gałgaństwo, szelmostwo!

— Chciej wierzyć mój Protazy, że zasłużyłem na nią. Lecz co powiedziałeś policyi, a później sędziemu?

— Domyśliłem się, czego panicz tam pod murem żądał odemnie, więc skomponowałem historyę o włóczęgach, o nożownikach. Powiedziałem, że zaniepokojony przedłużającą się jego nieobecnością, poszedłem nad Wisłę i znalazłem cię leżącego w łodzi bez zmysłów, zbroczonego krwią, że prawdopodobnie nicponie-zbójcy napadli na cię, gdy przybijałeś do brzegu...

— Wybornie mój stary.

— Zaczęli mnie wybadywać, czy panicz przypadkiem niema jakich nieprzyjaciół. Odpowiedziałem, że nie wiem... A ponieważ księżna pani nie mogła im nic wcale wytłomaczyć, mnie zaś zanadto zmęczyli podstępnie prowadzonem śledztwem, wziąłem dorożkę i machnąłem po doktora Michała Marczaka, bo myślałem sobie: przedewszystkiem on jeden może panicza od śmierci uchronić, a przytem przepędzi tę całą zgraję ciekawskich, którym nie chodzi o sprawiedliwość, ino o popisanie się przed władzą swoim węchem i pokazanie, że to oni zbrodnię odkryli.

Protazy zaniósł się głośnym śmiechem.

— Żeby panicz był widział, jak ich Marczak z miejsca odprawił, tobyś się tak uśmiał, jak ja się teraz śmieję. Żaden z nich aż do dzisiejszego ranka nosa tu nie wściubił, bo Marczakowi nikt sprzeciwić się nie śmie. Już ma coś takiego w sobie, że ludzie go się bardzo boją i słuchają jak trusie.

— Lecz dzienniki... Co pisały dzienniki? Nie wiesz? — pytał Zygmunt z widocznym niepokojem.

— Dam paniczowi i dzienniki, bo doktór kazał je schować.

To mówiąc przyniósł paczkę gazet, w których chory znalazł znane nam dwie notatki, nie określające wcale istoty faktu.

— A potem?

— Potem?... nic. Wszystko się już rzekło. Doktór, któremu powtórzyłem słowa panicza, zajmował się całą sprawą dalej.

— Dobrze... bardzo dobrze — szeptał Zygmunt zadowolony, że równie stary sługa jak lekarz-przyjaciel odgadli czy przeczuli jego pragnienie uniknięcia wszelkiego skandalu. Dziękuję ci Protazy... bardzo dziękuję. Idź teraz wypocząć i nie wątp ani chwili, że spać będę wybornie.

Objaśnienia eks-żołnierza uspokoiły go zupełnie. Odzyskał wrodzoną sobie równowagę moralną, która na osłabiony organizm wpłynęła równocześnie bardzo dodatnio. Gdy się rano obudził, uczuł, że gorączka go opuściła i że odzyskuje utracone siły.

— Gdyby mi nie chodziło o przekonanie was wszystkich, że jestem rozsądny i spełniam sumiennie polecenia Michała, już dziś wstałbym zaraz z łóżka.

— Na miłość boską nie!... Proszę głupstw nie wygadywać! — zawołał Protazy przerażony myślą, że jego ukochany panicz gotów nieroztropnie zdrowie swoje na szwank narazić.

Na wargach Zygmunta pojawił się dawno niewidziany uśmiech.

Och, on będzie rozsądny i posłuszny... Spełni wszystko, co mu przyjaciel Marczak przepisze, aby wyzdrowieć jak najspieszniej, bo potrzebuje przecie zdrowia do przyszłej walki z rodziną Zofii. Odgadywał, co mogło dziać się w Sielance po owej nocy, w której usiłowano pozbyć go się raz na zawsze. Jak on — i Wielohradzcy prawdopodobnie starali się uniknąć skandalu... Z kłopotów rodzinnych nie zwierzyli się niezawodnie przedstawicielom sprawiedliwości... Co zaś do projektowanego małżeństwa z baronem Korfem wydawało mu się ono obecnie tak bardzo niemożliwem i nieprawdopodobnem, że w tym względzie nie chciał nawet zastanawiać się nad jakiemkolwiekbądź przypuszczeniem. Zofia do niego należy... nic na świecie nie zdoła mu jej wydrzeć! Nie ulega wątpliwości, że musi być strasznie dręczoną przez ojca i brata... może nawet grożą jej zamknięciem w klasztorze.

Próżna to jednak groźba. Wkrótce on z łoża powstanie i upomni się o swoje prawa. Po tem co się stało, ona ani chwili wahać się nie będzie.. Zaraz na jego wezwanie opuści dom rodzicielski. Przyszłość wydawała mu się tak pewną, że nie dziwiło go nawet, iż nie otrzymuje listów od ukochanej. Wszakże żyje w Sielance jak w więzieniu, oczekując na narzeczonego, który po zwycięstwie odniesionem nad śmiercią przybędzie ją wyzwolić. Pozbawiona wszelkiej swobody, poddana nieustannemu nadzorowi hrabiego i Karola, pisać do niego nie może. Gdyby nawet mogła, nie narażałaby swojej korespondencyi na przejęcie niezawodne.

Nadzieja i głęboka wiara w pomyślną przyszłość sprawiały, że Zygmunt czuł się coraz silniejszym. Już nazajutrz zaszła tak pomyślna zmiana w stanie jego zdrowia, że Marczak rzekł do niego z uśmiechem:

— No, gdyby urzędnicy sądowi przyszli cię nagabywać teraz, nie miałbym prawa wyrzucić ich za drzwi!

Lekka gorączka powróciła jeszcze wieczorem, lecz dnia następnego znikła zupełnie. Zaczynała się już prawdziwa rekonwalescencya i ustały wszelkie niepokoje. Babka zagarnęła znowu Protazego na swoje wyłączne usługi. Z całą właściwą sobie naiwną lekkomyślnością powtarzała, że znosi ruinę majątkową z rzymskim stoicyzmem, że czyściec, jaki przechodzi na ziemi — zapewni jej niezawodnie królestwo niebieskie w życiu przyszłem. Zygmunt słuchał jej wynurzeń z uśmiechem, cieszył się bowiem, że księżna była wesoła i wolna od wszelkiej troski.

Staruszka jednak, chociaż myślała przedewszystkiem o swoich potrzebach, zajmowała się ciągle wnukiem. Starała się go bawić i rozrywać. Czytała mu nowelle naszych najmłodszych powieściopisarzy i komentowała je dowcipnie, szydząc z modnego modernizmu. Potem opowiadała różne stare historye z czasów swej młodości, a gdy go rozśmieszyła, radowała się tem niewymownie.

— Widzisz — mówiła uszczęśliwiona — i stara babcia na coś ci się jeszcze przydać nieraz może!

Za wspólnem porozumieniem z Marczakiem przyjął nareszcie Zygmunt: naprzód praskiego komisarza policyi, następnie sędziego śledczego. Pierwszego zbył dość łatwo opowiadaniem mniej więcej podobnem do opowiadania Protazego. Z drugim rzecz była nieco trudniejsza, ten bowiem — człowiek wykształcony, inteligentny i bywający niegdyś w petersburskim wielkim świecie — nie uwierzył w fantastyczną relacyę młodzieńca. Odgadł wewnętrzny niepokój Zygmunta; zauważył jego pomieszanie i nieudolne kłamstwo. Rozumiał jednakże, że z pewnością nie powie nic innego... Na co go zatem indagować dłużej, jeśli badanie nie doprowadzi do żadnego rezultatu? Na co poszukiwać wykonawcy niespełnionej zbrodni, jeśli jego ofiara wcale tego nie pragnie?... Dla sędziego było rzeczą pewną, że jakiś zazdrosny mąż zranił Zygmunta, złapawszy go na schadzce z żoną, a chociaż rana, zadana w plecy, świadczyła, że przeciwnik kochanka nie należał do ludzi uczciwych i szlachetnych, zraniony jednak nie wymieni jego nazwiska za nic w świecie, chodzi mu bowiem o honor kobiety. Sędzia więc pożegnał się z badanym bardzo uprzejmie; sprawę zaś dla braku dowodów umorzono.

Zygmunt po śledztwie miał przez dni parę gorączkę. Wkrótce jednak przyszedł do siebie i uspokoił się znowu. Rany goiły się, on zaś powracał do zwykłego trybu życia, chociaż dotąd nie uczęszczał do biura, na pracę bowiem w dusznym, miejskim lokalu doktór jeszcze nie pozwalał. Schodził zatem co ranka do ogródka, otaczającego dworek i pielęgnował kwiaty, rozwijające się pięknie pod jego pieczołowitą opieką. Sam wprawdzie nie mógł ziemi kopać, ani dźwigać wielkiej, blaszanej konewki do polewania roślin, lecz księżna była dla wnuka wyrozumialszą niż przed chorobą, więc pozwalała mu kiedy niekiedy przywoływać Protazego do pomocy.

Pewnego poranku siedzieli oboje pod krzakiem wysokopiennej róży bengalskiej o rozłożystej koronie, rzucającej szeroki cień naokoło. On dumał, ona czytała poranny numer *Kuryera*. Nagle krzyknęła:

— Patrz-no, patrz! panna Wielohradzka wychodzi zamąż.

— Co mówisz babciu? — zapytał zdławionym głosem.

Księżna nie spostrzegła wzruszenia wnuka; przyłożyła do oczu ręczną szyldkretową lornetkę i czytała głośno:

„Małżeństwo w wielkim świecie. Dziś wieczorem na Krakowskiem - Przedmieściu, w kościele św. Józefa Oblubieńca, niegdyś PP. Wizytek, odbędzie się ślub barona Korfa, należącego równocześnie do arystokracyi finansowej jak i rodowej, z panną Zofią hrabianką Wielohradzką, córką powszechnie znanego Mieczysława hrabiego Wielohradzkiego, jednego z naszych najsympatyczniejszych klubmanów“.

X.

Małżeństwo w wielkim świecie.

Zofia spełniła ofiarę tak, jak się wychyla kielich napełniony gorzkiem lekarstwem, którego ani stłuc, ani za okno wyrzucić nie pozwalają. Zaraz po rozmowie z baronem Korfem powiedziała ojcu, aby oznaczył termin ślubu, bo ona z poddaniem się należnem jego woli wyjdzie za człowieka, którego jej na męża przeznaczył. Hrabia, zapomniawszy o wielkopańskim szyku i o wszelkiem deco-

rum, przepisanem w takich razach przez zwyczaje towarzyskie, dziękował jej z poniżającemi go jaskrawemi oznakami wdzięczności. Rozpłakał się nawet; potem pochwycił córkę w objęcia i chciał obnosić po pokojach. Lecz ona, przejęta mimowolnym wstrętem, wysunęła mu się z rąk jak mogła najdelikatniej — i chłodna niby posąg wyciosany z lodu, odeszła do swej sypialni. Brat i ciotka pobiegli za nią, żeby jej powinszować.

— Proszę was bardzo nie składajcie mi życzeń — rzekła głosem, w którym czuć było rozdrażnienie nerwowe. Robię, co mi nakazał zrobić obowiązek. Jeśli was to cieszy, tem lepiej... ale nie żądajcie odemnie, abym i ja cieszyła się wraz z wami.

O ile Zofia okazywała się zimną i obojętną dla ojca i brata, o tyle dość uprzejmie przyjmowała hołdy Korfa, nie unikając wcale widywania się z nim sam na sam, gdy o to prosił. Lecz w czasie takich sam na sam nie było między nimi mowy o miłości. Baron zdawał się zgadzać bez zastrzeżeń na dziwną sytuacyę, jaką wytworzyła wola dziewczęcia. Rozmawiali prawie zawsze o rzeczach obojętnych, o przyszłej instalacyi w Warszawie i w Paryżu, o urządzeniu domu i o służbie, którą przyjąć albo oddalić należało. Korf pragnął opuścić swoje dotychczasowe w obu stolicach mieszkania (wprawdzie wspaniałe, lecz noszące na sobie charakter kawalerski) i tak w jednem, jak w drugiem mieście przenieść się wraz z żoną do nowych lokali.

— Kupię — mówił — jeden z najpiękniejszych pałacyków w Paryżu, który w tych dniach właśnie wystawiono na sprzedaż.

— Nie trzeba — odparła Zofia. Nie wydawaj pan zbyt wiele, zwłaszcza dla mnie. Pamiętaj, że masz we mnie wspólnika, nie żonę, muszę zatem czuwać nad pańskimi wydatkami.

On uśmiechnął się smutnie.

Ile razy Zofia z naciskiem powtarzającym się zbyt często wspominała o separacyjnem pożyciu, jakie ich czekało, z trudnością dławił w piersi, wyrywające się z niej gwałtowne westchnienie i starał się rozpogodzić nagle zmarszczone czoło. Gdyby dziewczę znało lepiej świat i ludzi, odgadłoby prawdopodobnie, patrząc w jego oczy, błyskające ogniem namiętnym, że pokorny dziś sługa jutro już może, stawszy się srogim panem, zapragnie odzyskać należne mu prawa i posiąść tę, która obecnie odpycha go tak nierozważnie i stanowczo.

Wielohradzki przywiózł córkę z Deauville do Warszawy na dziesięć dni zaledwie przed terminem na ślub wyznaczonym. Dla uniknięcia wydatków i kłopotu, ulokował ją u Dulskiej. Krótki czas przedślubny poświęcono na sporządzenie wyprawy i sprawunki.

Cała rodzina z ciocią Zuzanną na czele od rana do późnego wieczora latała zażarcie ze sklepu do sklepu, z magazynu do magazynu, od krawców do modniarek, od szewczek do jubilerów... Zofia, zupełnie obojętna i nie troszcząca się o nic, dawała się jednak wyciągać z domu. Bez sporu i namysłu zgadzała się i pochwalała wszystko, co ciotka i narzeczony za wspólnem porozumieniem się z sobą przeznaczali lub wybierali dla niej. Raz tylko sprzeciwiła się żądaniu Korfa, który w domu do niego należącym chciał znaczną część pierwszego piętra zamienić na apartament wyłącznie do jej użytku przeznaczony i urządzony z niesłychanym zbytkiem. Oświadczyła stanowczo, że prosi o jeden tylko pokoik, umeblowany jej własnymi, skromnymi mebelkami z Sielanki. Dulska zwykle słodka i miła, tym razem uniosła się gniewem:

— Ależ moja droga, to niema sensu!

Lecz Korf uspokoił ciocię gestem miękkim i cicho wyszeptanemi słowami:

— Proszę się nie irytować... Każde życzenie panny Zofii jest dla mnie rozkazem, który spełnię zawsze posłusznie i z prawdziwą przyjemnością...

Rozumiał dobrze, o co jej chodziło. Postanowiła pomimo małżeństwa pozostać dziewicą i żyć dalej wśród wspomnień z panieńskich czasów.

W kwestyi rozstrzygniętej według jej żądania nie przemówił już ani słówka więcej, lecz w parę dni potem, gdy Zofia dom jego zwiedzała, poprosił ją, żeby zajrzała do swego pokoiku. Stały w nim wszystkie jej panieńskie mebelki, przewiezione tu w nocy z Sielanki. Jedną tylko modyfikacyę ośmielił się zaprowadzić w całem urządzeniu sypialni swej przyszłej żony. Oto kazał obić ściany starą, jedwabną, autentyczną materyą z XVIII wieku, całą białą, z drobnym na tej białości rzucikiem czerwonych różyczek, przewiązanych błękitnemi kokardkami.

Pomimo swej dumnej i chłodnej obojętności Zofia z uznaniem zauważyła zmianę. Ufna w dane jej słowo wyciągnęła do Korfa rękę i rzekła bardzo uprzejmie:

— Dziękuję panu.

On, o mało co nie zapomniał się i już... już niósł do ust rączkę alabastrowej białości, aby złożyć na niej gorący pocałunek, lecz wnet opamiętał się i zapanował nad zmysłami... Więc podaną rękę tylko uścisnął przyjaźnie. Rozumiał, że musi chłód udawać, aby oswoić ofiarę, inaczej bowiem upragnionego celu nie dopnie. To też ciągle postępował z niesłychanym taktem. Codziennie posyłał jej do mieszkania ciotki najcenniejsze kwiaty, sprowadzane z zagranicy, lecz tu — w pokoju dla niej przeznaczonym — wstawił w skromny, szklany puhar (który widzieliśmy niegdyś w jej sypialni w Sielance) tylko jedną gałąź lilii białej. Ona zachwycona ulubionym kwiatem, nachyliła się nad nim, chciwie pojąc się jego cudnym zapachem.

Korf cofnął się ku drzwiom, mówiąc:

— Pozwoli pani, że ją opuszczę na chwilę. Słyszę zajeżdżający powóz... to pewno moja matka.

— I pan nie pojechałeś po nią na kolej? — zapytała tonem wyrzutu.

— Wiedziałem, że o godzinie, w której pociąg z Francyi przybywa, pani tu będzie.

Wybiegł spiesznie.

Zofia zastanowiła się nad ogromną siłą miłości, wywołanej przez nią mimowolnie. Pomimo wszystko co czyniła, żeby go do siebie zniechęcić, czuła, że przywiązanie Korfa wzrasta z dniem każdym, że potężnieje w sposób zastraszający. Usta jej wyszeptały bezwiednie:

— Jakie to nieszczęście! jakie wielkie nieszczęście!

Chciała więc życzliwem przyjęciem i uprzejmem zachowaniem się z jego matką wynagrodzić mu choć w części mimowolnie wyrządzoną krzywdę.

Pani Rutkowska, z domu Sormier, żona polskiego emigranta, matka barona Korfa (który tylko na aktach urzędowych podpisywał się „Rutkowski-Korf“) otrzepywała w przedpokoju kurz z podróżnego ubioru. Uściskawszy serdecznie ukochanego syna, mówiła głosem donośnym:

— Więc ty nicponiu żenisz się naprawdę?... Żałuję mocno biedaczki, która za ciebie wychodzi, bo nie wątpię, że jak dokuczałeś mnie całe życie, tak i jej dokuczać będziesz urwisie!

Niezwykły to był typ kobiety dla polskiego otoczenia, chociaż bardzo pospolity w południowej Francyi. Wysoka, otyła, ciemnowłosa, o twarzy opalonej słońcem i wiatrem, musiała być niegdyś bardzo piękną, ową pięknością na wpół włoską, a na wpół cygańską, jaką odznaczają się Prowansalki.

Prowansalką zaś była duszą całą, oraz krwią z krwi i kością z kości. Dziś z dawnej jej urody nie pozostało i śladu. Z trudnością poruszała się w obcisłej odzieży mieszczańsko-europejskiej, sprawionej widocznie przed samym wyjazdem dla uczczenia nawet strojem uroczystości rodzinnej. Modny kapelusz z kwiatami wyglądał na jej głowie dziwacznie, znać, że głowie tej byłoby stokroć ładniej i lepiej w chłopskiej chustce jaskrawej. Bardzo rozsądna, jak ognia lękała się śmieszności. Rozumiała wybornie, że w towarzystwie, w jakiem syn jej żyje i przebywa, niema dla niej odpowiedniego miejsca, lecz miłość rodzicielska przemogła w jej sercu wrodzoną, szlachetną dumę i długie wahanie się „jechać, czy nie jechać do obcego, nieznanego kraju“, kędy może w niej nie uszanują prostej i pospolitej, lecz zarazem zacnej i prawej żony nieszczęśliwego wygnańca, który w otoczeniu jej sąsiadów, współziemianrolników, schłopiał także i o polskich fumach szlacheckich zapomniał zupełnie.

Chciała koniecznie choć raz w życiu zobaczyć przyszłą synowę. Wszakże ona ma ją obdarzyć gronem upragnionych wnucząt, z których jedno zabierze, choćby przemocą do swej wiejskiej posiadłości i wychowa pod ogniem ziejącem słońcem południowem, w czystem i zdrowem powietrzu przepięknej, skalistej, umiłowanej przez nią okolicy.

Pomimo wielkiej pewności siebie, wypływającej z głębokiego przekonania, że jest kobietą dobrą, uczciwą, wcale nie głupią i godną szacunku, uczuła się nieco zażenowaną, gdy ją syn wprowadził do komnaty, w której się już znajdowali: Wielohradzki, Karol i ciocia Dulska. Zdawała sobie jasno sprawę, że owi sztywni i wymuskani panowie, oraz owa dama — do porcelanowej laleczki podobna — chociaż dla matki barona Korfa są bardzo grzeczni, jednakże w duszy żartują sobie z francuskiej chłopki. Czytała w ich oczach wzgardę i lekceważenie, więc z niesłychaną obawą oczekiwała na Zosię. Ci tam nic jej nie obchodzili, lecz w niej pragnęła mieć córkę.

Wtem Zofia weszła do salonu.

— Moja matka — rzekł do niej Korf mocno wzruszony.

Z prostotą, pełną szczerej dobroci i wdzięku zbliżyła się Zofia do Rutkowskiej, objęła ją wpół ramieniem, a potem do rąk jej się nachyliła, żeby na nich złożyć dwa gorące pocałunki.

— Ach, mój Boże!... ach, mój Boże! — zawołała Rutkowska — jakaż ja szczęśliwa... jakże się cieszę, że on panią wybrał... że ciebie pani poślubi!

Od razu przeczuciem kobiecego serca oceniła całą jej dobroć i szlachetność. „To nie lalka“ — myślała — „jaką obawiałam się spotkać“.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Co mówisz babciu? — zapytał zdławionym głosem.

Polska szkoła na wschodnich kresach.

Ludność polska, rozsiana bardzo licznie we wschodnich powiatach Galicyi, była do niedawna pozbawiona niemal zupełnie opieki, nic więc dziwnego, że poczęła tonąć w morzu ruskiem. Dopiero od kilku lat rozpoczęło społeczeństwo polskie, głównie z inicyatywy Tow. Szkoły ludowej, energiczną pracę około uświadomienia narodowego ludności polskiej, przez zakładanie szkółek ludowych, czytelni, bibliotek oraz przez organizowanie odczytów i wykładów popularnych.

Staraniem Koła Pań T. S. L. w Stanisławowie, a przy poparciu materyalnem pp. Jeżów, właścicieli wsi Weleśnicy w powiecie nadwórniańskim, założono w tej wsi przed rokiem szkołę ludową z językiem wykładowym polskim, przeznaczoną dla osiadłych w tej okolicy Polaków. Naukę pobierało w tej szkółce 50 dziatwy polskiej i niedawno odbyło się tam uroczyste zakończenie roku szkolnego i rozdanie świadectw w obecności delegata rady szkolnej okręgowej, ks. proboszcza Schweigera z Ottynii, pp. Jeżów, delegatek Koła Pań T. S. L., pp. Nemetzowej i Macurowej i mnóstwa gospodarzy, tak Polaków jak i Rusinów. Na ziemiach dawnej królewszczyzny, pod bokiem „atamana“ Trylowskiego, odezwały się po raz pierwszy czyste, melodyjne dźwięki pieśni narodowych, zabrzmiały słowa „katechizmu polskiego dziecka“.

Ojcowie i matki ocierali z cicha łzy radości, a nawet Rusini wciąż powtarzali: „Se po Bożomu, se duże fajne“. Pp. Nemetzowa i Macurowa obdzieliły dziatwę różnymi podarunkami, a na zakończenie ks. Schweiger przemówił do zebranych w gorących słowach, wzywając ich do pielęgnowania największego skarbu: mowy ojczystej, poczem z piersi wszystkich zebranych Polaków popłynęły rzewne i serdeczne słowa: „Przed Twe ołtarze zanosim błaganie — Ojczyznę, wolność racz nam wrócić Panie!“



Polska szkoła na wschodnich kresach: Grono uczniów i uczenic szkółki T. S. L. w Weleśnicy pod Nadwórną.

Prezydent Fallières w podróży.

Prezydent republiki francuskiej Fallières przedsięwziął z końcem lipca i początkiem sierpnia szereg odwiedzin monarchów północno europejskich. W podróży towarzyszy mu minister spraw zagranicznych p. Pichon, wizyty więc nabierają przez to charakteru politycznego.

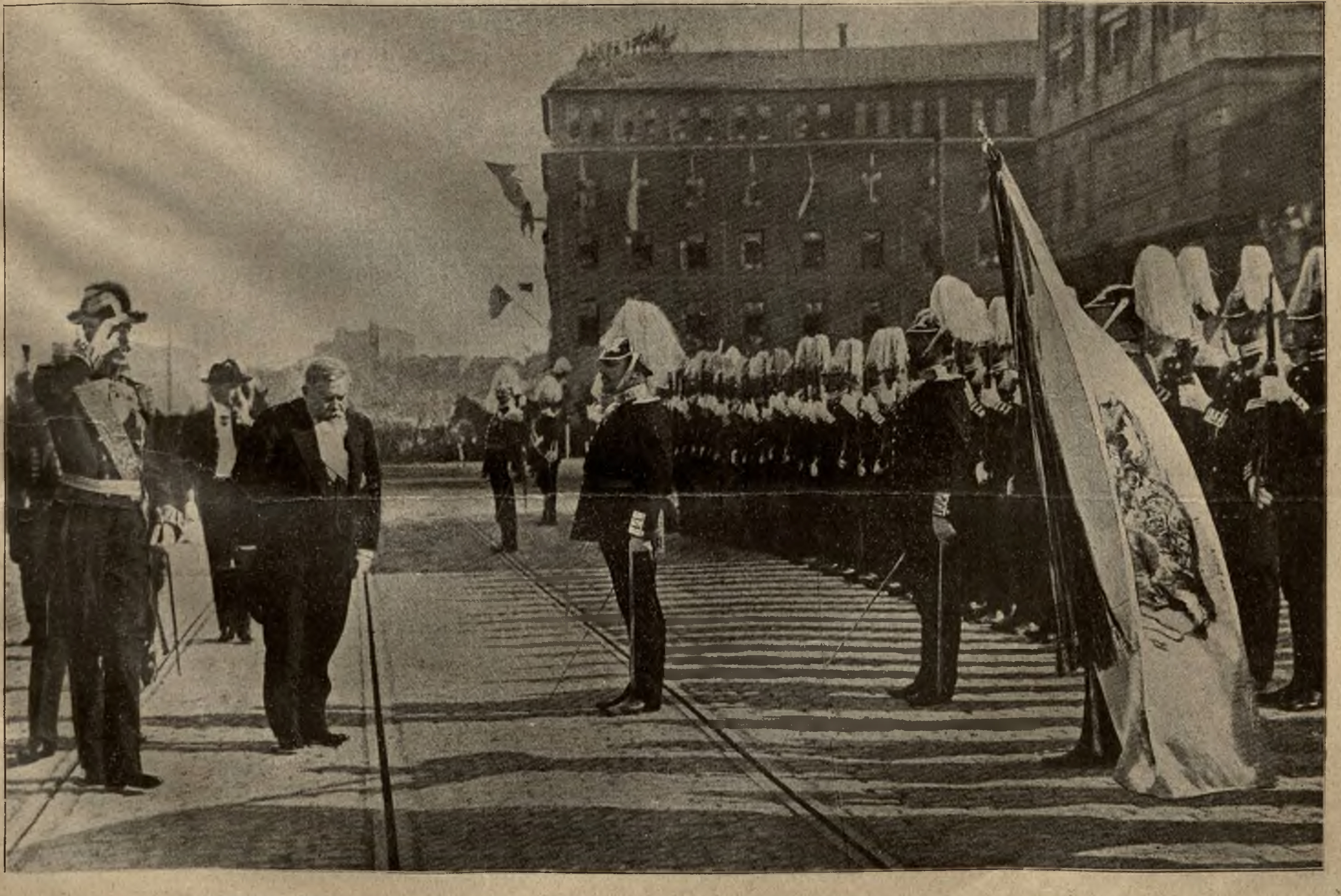
Opuściwszy dwór duński, gdzie go bardzo serdecznie przyjmowano, udał się Fallières do Sztokholmu, stąd zaś po zjeździe z cesarzem Rosyi w Rewlu, skierował swą podróż do Chrystyanii, gdzie właśnie przybył w tych dniach.

Polityczny charakter wszystkich tych odwiedzin łatwo poznać z polemiki urzędowych i półurzędowych pism, które gwałtownie się sprzeczają, jedne nadając więcej, inne odmawiając wogóle znaczenia podróży prezydenta, a sprowadzając ją tylko do poziomu zwykłej towarzyskiej grzeczności.

Rzecz naturalna, że głównie Niemcy, czując, że jest to skierowane przeciw ich polityce, najbardziej się sierdzą, nic to jednak nie pomoże, zainicyowane przez wuja cesarza niemieckiego, króla Edwarda, odosobnienie Niemiec w Europie i zawarcie przymierza anglo-franko-rosyjskiego, w któremby znalazły oparcie wszystkie państwa, narażone najbardziej na zuchwałość niemiecką, zadaje widocznie cios po ciosie polityce gabinetu berlińskiego. Przyjdzie wreszcie do tego, że Niemcy będą mogły w Europie liczyć chyba na jedną Austryę, która choć przez nie ciągle wyzyskiwana i oszukiwana, przecież dochowała wierności, bo drugi członek trójprzymierza, Włochy, stanowczo grawitują ku polityce angielskiej.

Wobec takich stosunków nic też dziwnego, że Niemcy z wielką niechęcią wyrażają się o podróży prezydenta na północ i że dla ujęcia jej znaczenia, właściwy „komiwojażer polityczny“, Wiluś, pożeglował do Sztokholmu, aby przewąchać, co w trawie piszczy.....

Do Szwecyi przybył prezydent Fallières w dniu



Prezydent Falliéres w podróży: Prezydent Falliéres przechodzi wraz z królem Gustawem V. przed frontem kompanii honorowej.

w dniu 24 lipca i wylądował w porcie Trelle, powitany przez króla Gustawa, poczem wraz z nim odjechał do Sztokholmu. Przyjęcie odbyło się według zwykłego ceremoniału, a głównym punktem, na który zwracają się oczy polityków, to galowy obiad, w czasie którego wygłaszali panujący polityczne toasty.

Król Gustaw pijąc zdrowie prezydenta, podziękował mu serdecznie za odwiedziny, wspomniał o licznych wspólnych tradycyach i wyraził sympatyę i podziw, jakie Szwecya odczuwa względem Francyi. Podniósł też znaczenie zawartej przez Francyę i Szwecyę wraz z innemi państwami nad morzem północnem umowy, która przyczyni się do wzmocnienia i zacieśnienia węzłów przyjaźni między oboma narodami (a która, jak wiadomo wiele krwi popsuła Niemcom).

Prez. Falliéres również serdecznie podziękował za powitanie, chwalił flotę i przypomniał dawne wspólne węzły, kiedy Szwecya i Francya przed stu laty połączyły się dla wzmocnienia idei narodowej niezawisłości.

Równie serdecznie żegnany, odpłynął prezydent w kierunku Rewlu, gdzie miał się zjechać z cesarzem Mikołajem.

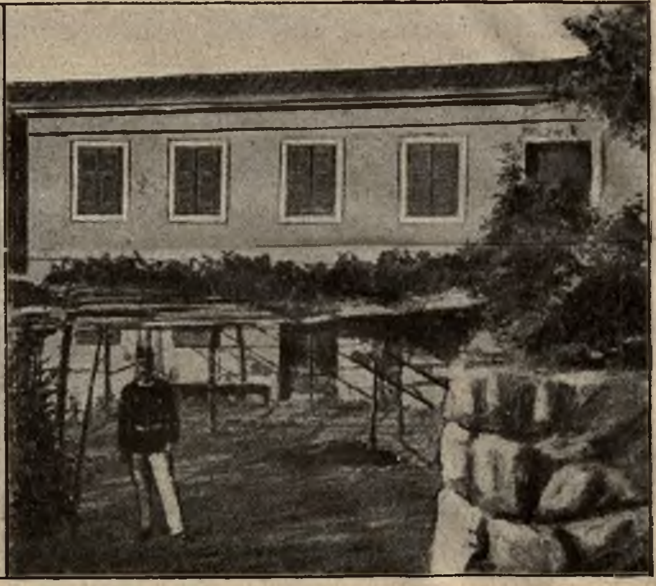
Illustracye nasza przedstawiają chwilę, gdy po wylądowaniu na brzegu Szwecyi prezydent Falliéres przechodzi wraz z królem Gustawem V. przed frontem kompanii honorowej oraz zdjęcia z Rewlu i Chrystyanii.



Odcięta głowa śpiewaczki: Wejście do domu mordercy.



Morderca Juliusz Fädran v. Fädransperg.



Dom, w którym popełniono morderstwo. Na lewo pokój, w którym znaleziono resztę zwłok.

Odcięta głowa śpiewaczki.

Niema prawie tygodnia, abyśmy nie słyszeli o jakimś grozą przejmującym czynie, którego dopuściła się jakaś zwyrodniała jednostka, nie godna nosić nazwiska człowieka. Im głębiej zastanawiamy się nad zboczeniami, które popychają człowieka do spełnienia takiego karygodnego czynu, tem częściej godzić się zdajemy ze zdaniem słynnego włoskiego psychiatry Lombrosa, który każdego zbrodniarza uważa za człowieka chorego umysłowo, a zamiast kryminałów radzi budować szpitale, gdzieby leczono takie zdeprawowane moralnie jednostki. Wprawdzie sprzeczne to jest z katolickim dogmatem o wolnej woli człowieka, ale zdaje się, że przecież to moralne zwyrodnienie (angielskie: „moral insanity“) wpływa na osłabienie wolnej woli człowieka chorego i popycha go w objęcia występku. W inny sposób trudno sobie wyobrazić i wytłómaczyć ten upadek etyczno-moralny obecnych czasów!

Opinią publiczną Tryestu, a za nim całej Austryi i cywilizowanego świata wstrząsnęła wiado-



Aparatem redakc. W. Lis.

Zdjęcia do fonografów w Krakowie: Grono artystów teatru lwowskiego i zastępcy fabryki »Pathé Frères« podczas dokonywania zdjęć.

mość o grozą przejmującem morderstwie, jakie wykryto 27 lipca w Tryeście.

Dwudziestodwuletni rybak Wiktor Lacovich, łowiąc ryby na Molo San Carlo, dojrzał na dnie jakiś pakiet. Starał go się wydostać, co mu się też po jakimś czasie udało. Gdy jednak spostrzegł, że z pakietu ciekuie krew, zawiadomił policyę.

Po bliższem obejrzeniu pakietu i zbadaniu jego zawartości przekonano się, że zawiera odciętą od



Odcięta głowa śpiewaczki: Wyłowiona z morza głowa zamordowanej śpiewaczki Fabry.

tułowia głowę kobiety, którą rozpoznano jako głowę śpiewaczki Lucy Fabry, występującej w podrzędnych lokalach tryesteńskich. Głowa owinięta była w papier nutowy i ręcznik, a na nich znaleziono litery J. F. v. F. Cały pakiet opasany był silnym żelaznym drutem, do którego był przymocowany około trzy kilogramy ważący kamień.

Policya, badając życie zamordowanej, przyszła do przekonania, że morderstwa mógł się dopuścić tylko Juliusz Fädran v. Fädransperg, który pozostawał w stosunku z Lucy, a z którego nazwiskiem zgadzały się znalezione na nutach i ręczniku inicyały.

Przyaresztowano go też natychmiast, a choć wypierał się popełnienia czynu, wykryła policya w jego mieszkaniu, przy ulicy Rojano 272 resztę poćwiartowanego ciała biednej śpiewaczki, ukrytą częścią w kufrze a częścią za skrzynią. Tułów stanowił osobny pakiet, w dwu znajdowały się ręce, w czterech nogi. Widocznie morderca przygotował je do wrzucenia do morza, podobnie jak to uczynił z głową, gdyż wszystko było starannie owinięte w gruby papier i szmaty.

Badanie lekarskie stwierdziło, że powodem śmierci śpiewaczki było silne pchnięcie sztyletem w okolicę serca, które też znaleziono na wylot przebite, potem dopiero poćwiartował morderca zwłoki, prawdopodobnie ostrym toporem, aby je tem łatwiej ukryć. I rzeczywiście przy skrupulatnej rewizyi znaleziono w jego mieszkaniu ostry sztylet i topór.

Jak wspomniano, morderca nie przyznał się wcale do popełnienia zbrodni, oświadczył, że wprawdzie znał Fabrównę i że ona nawet przed kilku dniami, wraz z jakimś swoim znajomym, którego podał tylko imię „Carletto", mieszkała u niego, następnie jednak się wyprowadziła, nie wiadomo w jakim kierunku.

Przeciw temu jego twierdzeniu świadczy okoliczność, że w mieszkaniu jego znaleziono także kufer śpiewaczki, a nadto do tryesteńskiej policyi zgłosiło się kilku handlarzy starzyzną, którzy zdeponowali różne przedmioty, należące do damskiej garderoby i kosztowności, będące własnością Lucy, sprzedane w ostatnich czasach przez Fädransperga.

Sąsiedzi Fädransperga zeznali, że słyszeli przed kilku dniami w jego mieszkaniu kłótnię, a potem wołanie o pomoc.

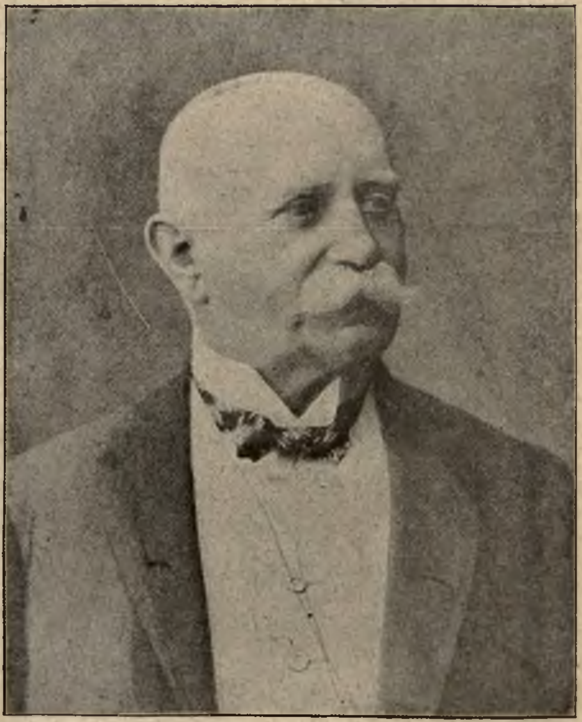
Motywu zbrodni dotąd nie ustalono.

Fädransperg liczy lat 48, a pochodzi z rodziny urzędniczej. Pierwotnie służył wojskowo, musiał jednak kwitować, potem zajmował podrzędną posadę w jednym z banków wiedeńskich, wreszcie został dyurnistą przy generalnej dyrekcyi austr. Lloyda w Tryeście, w ostatnich zaś czasach znalazł zajęcie u handlarza drzewa w Tryeście Bergera. Wogóle nigdzie długo miejsca nie zagrzał, nie był też przez znajomych lubiany, jako bardzo gwałtowny człowiek.

Lucy Fabry, rodem z Medyolanu, a jak inni podają z Algieru, liczyła lat 28.

Zdjęcia do fonografów w Krakowie.

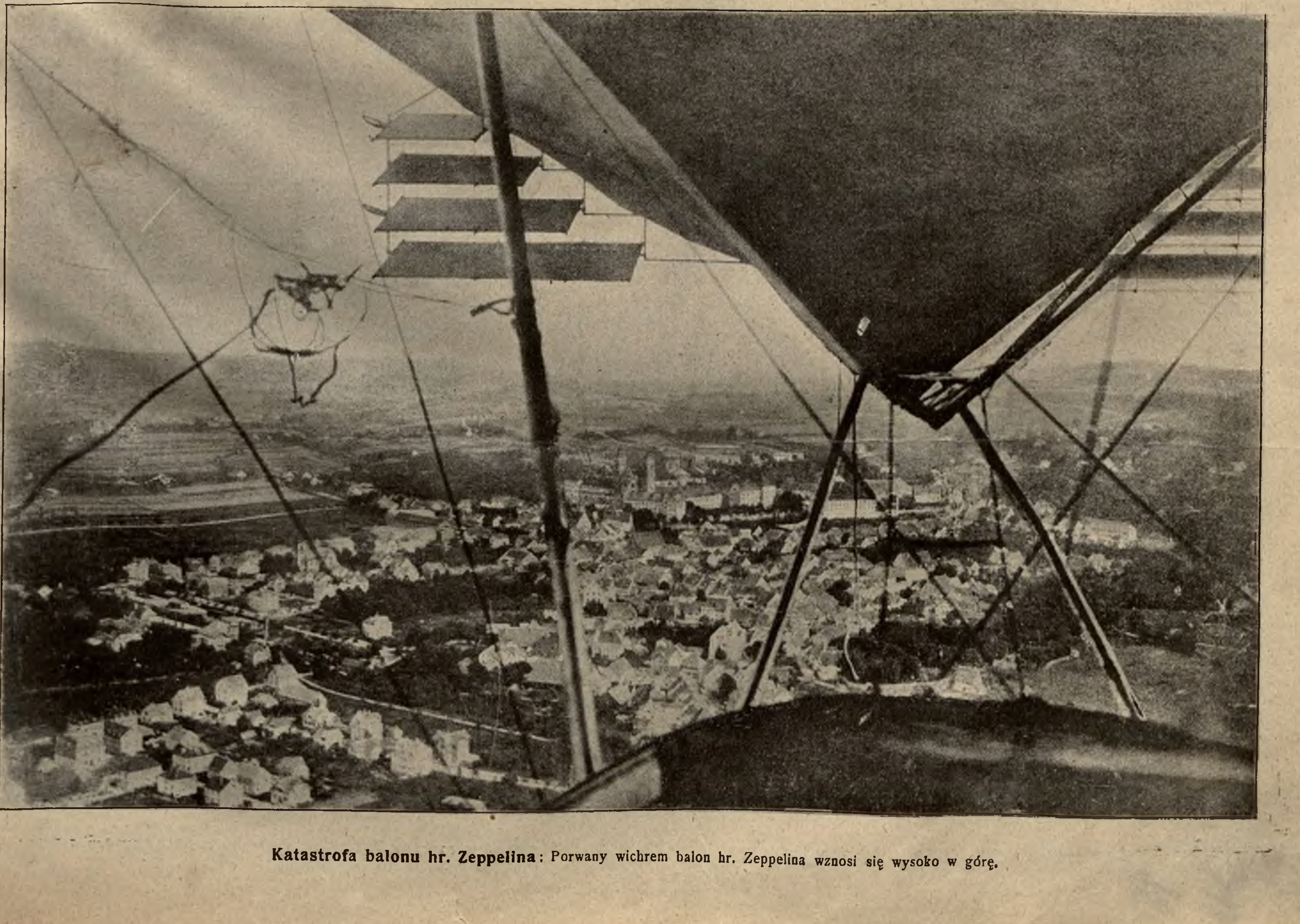
W ostatnich czasach rozpowszechniły się ogromnie wszelakiego rodzaju aparaty do oddawania głosu ludzkiego, głosu pewnych instrumentów, orkiestr itd., znane pod nazwą fonografów, gramofonów lub grawofonów. Dziś niema prawie restauracyi, niema ulicy w większem mieście, żeby bo-



Katastrofa balonu hr. Zeppelina: Hr. Zeppelin.

daj jeden tego rodzaju instrument tam się nie znajdował.

Wystarczy wyjść któregokolwiek dnia, zwłaszcza wieczorem, na ulicę, aby do woli nasłuchać się tego rodzaju produkcyi. Z jednego okna — bo gramofony ustawia się zwykle w pobliżu okna, aby i sąsiedzi i przechodnie mieli „przyjemność" — dochodzą dźwięki walca z „Wesołej wdówki" lub innego „Czaru walca", z drugiego równocześnie Floryański zawodzi „Rachelo, kie-edy Pan…", a z innego znowu rozlega się znany „Defilierungsmarsch" pułku „deutschmeistrów". Miesza się to wszystko razem i zlewa w jeden, trochę chra-



Katastrofa balonu hr. Zeppelina: Porwany wichrem balon hr. Zeppelina wznosi się wysoko w górę.

pliwy, trochę krzykliwy a trochę fałszywy ton, tak że trzeba mieć albo bardzo zdrowe i silne nerwy, albo bardzo dużo waty w uszach, aby można wytrzymać.

Taksamo też gramofony, wyrobu paryskiej firmy „Pathé Frères“, reprodukują dźwięki głosu ludzkiego czy orkiestry lub pojedynczych instrumentów czysto i przyjemnie. Francuska ta fabryka



Z zamętu w Turcyi: Ali Haydar Midhat, syn Midhata-baszy, twórcy konstytucyi z 1876.

posiada do chwytania dźwięków i reprodukowania ich aparaty doskonałe, oparte na najnowszych i najlepszych wynikach badań naukowych w tym kierunku. Właśnie w ubiegłym tygodniu bawiło w Krakowie grono delegatów tej fabryki, celem dokonania szeregu zdjęć pieśni i aryi operowych, wykonanych przez członków lwowskiej trupy operowej, przy akompaniamencie pianina lub orkiestry.

Zdjęcia odbywały się w jednej z sal szkoły przy pl. św. Ducha. Ustawiony tam był skomplikowany dość aparat, odbierający dźwięki. Fale głosowe ryły odpowiednie znaki na ruchomym walcu, z miękkiego materyału a bezpośrednio potem walec ten reprodukował te same dźwięki, dając artystom możność skontrolowania, czy nie zaszły jakie błędy.

Walce z wyrytemi na nich falami głosu odsyła się do fabryki w Paryżu i tam za pomocą mechanicznego działania „kopiuje się“ je na płyty do gramofonów.

W ciągu kilkudniowego pobytu w Krakowie dokonano tu kilkuset zdjęć a zamieszczona dziś illustracya przedstawia grono artystów teatru lwowskiego oraz zastępców fabryki, zebranych około aparatu podczas zdjęć.

Z zamętu w Turcyi.

Operacya, dokonana na „chorym człowieku“, udała się. Turcya otrzymała konstytucyę, będzie miała parlament, a ma już ministrów, przed tym parlamentem odpowiedzialnych. Czy jednak po tej udałej operacyi choroba się nie odnowi i czy pacyent nie zakończy życia, jak się to bardzo często u ludzi zdarza, dziś powiedzieć nie można. Bo rewolucyjna ewolucya wewnątrz ottomańskiego cesarstwa kresu jeszcze nie dobiegła.

Dowodem tego krótki okres rządów pierwszego konstytucyjnego gabinetu ministeryalnego, pod kierunkiem Said-baszy. Po niewielu dniach pracy gabinet ten ustąpił, a powołany został inny, z Kiamilem baszą na czele. O ile Said-basza był sędziwym ministrem, to o Kiamilu można powiedzieć, że jest staruszkiem. Liczy bowiem 81 lat. W sferach postępowych jest popularny i ceniony z powodu swych zasad. Charakterystyczną jest rzeczą, że w skład jego gabinetu weszli prócz Turków także Armeńczyk, Grek i Młodoturek.

Powołanie przedstawicieli mniejszości narodowych i przyznanie im wpływu na rządy, ma doniosłe znaczenie. Bo wiadomo, że ruch rewolucyjny szerzył się nietylko w samej Turcyi, ale zwłaszcza wśród słowiańskich narodów i wśród Greków, podległych władzy sułtana. W szczególności wiele kłopotu sprawiała rządowi Macedonia, zamieszkała przez najrozmaitsze narodowości, wiecznie ze sobą wojujące.



Z zamętu w Turcyi: Wnętrze szkoły dla zamożnych dzieci w Konstantynopolu.

W dzisiejszym numerze zamieszczamy szereg zdjęć, przedstawiających typy i sceny uliczne z Turcyi i Macedonii, oraz portret jednego z wybitnych Młodoturków, Aliego Haydar Midhata, przebywającego obecnie w Paryżu. Jest on synem baszy Midhata, twórcy konstytucyi tureckiej z roku 1876.



Z zamętu w Turcyi: Uliczni golarze w Konstantynopolu.



Z zamętu w Turcyi: Serbskie niewiasty przed kościołem w Salonikach.

Włamywacz Gentleman.

PRZYGODY ZBRODNIARZA

przez Maurycego Leblanc

3

Aresztowanie włamywacza.

— Mówił mi pan, panie baronie, że ta studnia jest jedynem wejściem do suteryn i że jak pamięć sięga, jest zawaloną.

— Tak.

— Zatem możemy być spokojni, o ile nie istnieje drugie przejście, znane samemu tylko Arsenowi Lupin, co wydaje mi się dość problematycznem.

Ustawił szeregiem trzy krzesła, rozciągnął się wybornie, zapalił fajeczkę i westchnął:

— Zaprawdę muszę mieć ogromną chęć dobudowania piąterka do mojego domku, w którym mam dokonać swego żywota, jeśli zgodziłem się na podjęcie takiego prostego zadania. Opowiem kiedyś tę historyę przyjacielowi Lupinowi; będzie się brał za boki ze śmiechu.

Ale baron nie śmiał się. Nastawiwszy ucha badał ciszę, a niepokój jego wzrastał. Od czasu do czasu pochylał się nad otworem i zatapiał niespokojny wzrok w przepaść ziejącą.

Jedenasta, dwunasta — pierwsza uderzyła.

— Słyszysz pan?

— Tak.

— Co to takiego?

— To ja chrapałem.

— Ależ nie, słuchaj tylko...

— Ach, tak! to trąbka automobilu.

— Więc?

— Więc mało jest prawdopodobnem, aby Lupin posługiwał się automobilem, wybierając się na ograbienie pańskiego zamku. Zatem panie baronie, na pańskiem miejscu spałbym... co także będę miał honor uczynić ponownie. Dobranoc.

Była to jedyna chwila niepokoju. W dalszym ciągu Ganimard mógł powetować swój sen przerwany i baron nic już więcej nie usłyszał nad donośne a spokojne chrapanie.

O świcie opuścili swoją celę. Wielki, pogodny spokój spokój poranku ponad świeżością wód otulał cały zamek. Cahorn jaśniejący radością, Ganimard zawsze spokojny wszedł na schody. Żadnego szmeru. Nic podejrzanego.

— Czy nie mówiłem panie baronie? W gruncie rzeczy nie powinienem przyjmować... wstyd poprostu...

Dobył kluczy, otworzył galeryę.

Na krzesłach skurczeni, z rękami zwieszonemi spali dwaj policyanci.

— Siarczyste pioruny!... — zamruczał inspektor.

W tej chwili baron wykrzyknął:

— Obrazy!... kredens!...

Bełkotał dusząc się, z ręką wyciągniętą ku pustym miejscom, gdzie na ogołoconych ścianach tkwiły gwoździe, wisiały niepotrzebne już sznury. Zniknął Watteau! Porwane Rubensy! zdjęte obicia! szklana szafka ogołocona ze wszystkich kosztowności!

— I moje kandelabry Ludwika XVI.!... i świecznik Regenta!... i moja Madonna!

Biegał od jednego do drugiego bezprzytomny, zrozpaczony. Wspominał ceny kupna, dodawał poniesione straty, gromadził cyfry, wszystko mieszając niewyraźnemi słowami, nieskończonemi zdaniami. Drżał, targał się, szalał z wściekłości i rozpaczy. Zdawałoby się człowiek zrujnowany, któremu pozostaje tylko w łeb sobie palnąć.

Jeśli co mogło nieco go pocieszyć, to chyba widok zdumienia Ganimarda. W przeciwieństwie do barona inspektor nie ruszał się wcale. Stał skamieniały, błędnym wzrokiem spoglądając na wszystko. Okna? zamknięte. Zamki u drzwi? nienaruszone. Żadnego wyłomu w suficie. Żadnej dziury w podłodze. Porządek niezamącony. Wszystko musiało dokonać się według ułożonego planu, nieubłaganie i logicznie.

— Arsen Lupin... Arsen Lupin — szeptał, pogrążony doszczętnie.

I nagle, jakby gniew nakoniec przerwał wszelką tamę, wpadł na obu ajentów, klął wściekle, targał ich. Nie obudzili się wcale!

— Do dyabła — rzekł — czy to nie przypadkiem...

Pochylił się nad nimi; po kolei przyglądał się z uwagą: spali, ale snem nienaturalnym.

Zwrócił się do barona.

— Uśpiono ich.

— Ale kto?

— On, do dyaska!... albo jego banda, kierowana przez niego.

— W takim razie jestem zgubiony i wszystko stracone!

— Ale to obrzydliwie, to potwornie.

— Podaj pan skargę.

— Poco?

— Ba! spróbować należy... Sądownictwo ma swoje drogi...

— Sądownictwo! masz pan najlepszy dowód na sobie samym... Teraz nawet, w tej chwili, zamiast szukać jakiejś wskazówki, jakiegoś znaku, stoisz pan z opuszczonemi rękami.

— Wskazówki po Arsenie Lupin! Ależ drogi panie baronie, Arsen Lupin nie zostawia nic nigdy po sobie. Niema przypadku z Arsenem Lupinem! Jestem gotów zadać sobie pytanie, czy nie z własnej woli poddał mi się wtedy — w Ameryce!

— A zatem muszę pożegnać się z moimi obrazami, ze wszystkiem! Ależ to były perły moich zbiorów! Oddałbym całą fortunę, aby je odzyskać. Jeśli nic z nim zrobić nie można, niech stawi swoją cenę!

Ganimard popatrzył bystro na barona.

— To jest jedyne roztropne słowo. Nie cofasz go pan?

— Nie, nie, nie. Ale na co to panu?

— Mam myśl.

— Jaką?

— Sprobujemy, czy targiem się nie uda... Tylko, jeśli pan chcesz, aby się udało, ani słówka o mnie!

I przez zęby dokończył:

— Co prawda nie mam czem się pochwalić.

Obaj ajenci zaczęli powoli przychodzić do przytomności; wyglądali jak ludzie, budzący się ze snu hypnotycznego. Otwierali zdziwione oczy, starali się zrozumieć. Ganimard zaczął ich pytać; nie pamiętali nic.

— Jednak musieliście przecie widzieć kogoś?

— Nikogo.

— Nie przypominacie sobie?

— Nie, nie.

— Nie piliście nic?

Pomyśleli i jeden z nich powiedział:

— Tak, ja napiłem się trochę wody.

— Z tej karafki?

— Tak.

— Ja także piłem — oświadczył drugi.

Ganimard powąchał, skosztował. Woda nie miała żadnego szczególnego smaku, żadnego zapachu.

— Tracimy czas, nic więcej. To nie w pięć minut roztrzygnąć zadanie, postawione przez Arsena Lupin. Ale, do stu dyabłów! przysięgam, że znów go wyłowię. Będzie miał drugą celę! Do roboty!

Tego samego dnia jeszcze została wytoczona przez barona Cahorn sprawa o kradzież przeciw Arsenowi Lupin, zamkniętemu w La Santé!

* * *

Jakże gorzko żałował później baron wytoczenia tej sprawy! Jego Malaquis zostało wydane w ręce żandarmów, prokuratora, sędziego śledczego, dziennikarzy, wszystkich ciekawych, którzy snuli się wszędzie, gdzie być wcale nie powinni byli.

Sprawa zaczynała roznamiętniać publiczność. Kradzież dokonana została w tak szczególnych warunkach, imię Arsena Lupin tak powszechnie podniecało wyobraźnię, iż najfantastyczniejsze historye pojawiały się na szpaltach dzienników i znajdowały wiarę u publiczności.

Ale list Arsena Lupin, ogłoszony w *Echo de France* (nikt nigdy nie dowiedział się, kto podał tekst do druku), ten list, w którym baron został tak zuchwale uprzedzony o mającym dokonać się napadzie, wywołał olbrzymie wrażenie. Posypały się najbajeczniejsze domysły. Przypominano sobie sławne podziemia w zamku. I sąd, ulegając wpływowi opinii, zwrócił poszukiwania w tym kierunku.

Przetrząśnięto zamek z góry do dołu. Niemal każdy kamień zbadano. Przeglądano boazerye, kominki, zwierciadła, nawet belki sufitowe. Z zapalonemi pochodniami zwiedzano olbrzymie piwnice, gdzie panowie na Malaquis chowali niegdyś swoje zapasy jadła i prochu. Zbadano nawet szczegółowo skałę.

Wszystko naprożno. Nie odnaleziono najmniejszego śladu do podziemia. Tajemne przejście w lochach nie istniało wcale.

Wszystko to być może, odpowiadano, ale meble i obrazy nie giną jak mary. To się wynosi przez drzwi lub przez okna i ludzie, którzy je wynieśli wchodzą i wychodzą także przez drzwi lub okna. Któż są ci ludzie? Jakim sposobem weszli i kędy wyszli?

Sąd w Rouen przekonawszy się o swej pełnej niemocy, zwrócił się o pomoc do władz paryskich. Pan Dudouis, szef tajnej policyi, wysłał najlepszych swoich ludzi. Sam osobiście zjechał na dwa dni do Malaquis.

I jemu nie powiodło się także.

Wtedy to wezwał do siebie głównego inspektora Ganimarda, o którego zasługach przekonał się już niejednokrotnie.

Ganimard wysłuchał w milczeniu wskazówek swego naczelnika, a potem, wstrząsając głową, rzekł:

— Sądzę, że przetrząsając zamek obrano niewłaściwą drogę. Rozwiązanie znajduje się na zewnątrz.

— Gdzie naprzykład?

— Przy Arsenie Lupin.

— Przy Arsenie Lupin! Przypuścić coś podobnego, to przypuścić jego interwencyę.

— Ja też ją przypuszczam. Co więcej uważam ją za pewną.

— Słuchaj Ganimard, to jest czysty absurd. Arsen Lupin jest w więzieniu.

— Arsen Lupin jest w więzieniu, tak. Czuwają nad nim, przyznaję. Ale może mieć sobie kajdany na nogach, powrozy na rękach, usta zatkane — nie zmienię mego zdania.

— Skądże to przekonanie?

— Bo tylko jeden Arsen Lupin może wymyślić taką maszynę do latania i tak ją wymyślić, aby latała.

— Słowa, Ganimard!

— Które są rzeczywistością. Naprożno tu szukać podziemi, obracających się na swojej osi kamieni, lub innych bredni tego rodzaju. Nasz ptaszek nie używa podobnie przestarzałych sposobów. On jest dzisiejszy, albo raczej jutrzejszy.

— Cóż stąd wynika?

— Wynika to, że proszę pana szefa o upoważnienie mnie do przepędzenia z więźniem jednej godziny sam na sam.

— W jego celi?

— Tak. Wracając z Ameryki zawiązaliśmy z sobą wyborne stosunki i śmiem twierdzić, że żywi on pewną sympatyę dla tego, kto go zaaresztował. Jeśli tylko może objaśnić mnie w czemśkolwiek bez narażenia się, nie zawaha się z pewnością tego uczynić.

* * *

Było już nieco popołudniu kiedy wprowadzono Ganimarda do celi Arsena Lupin.

Więzień, wyciągnięty na łóżku, podniósł głowę i wnet wykrzyknął radośnie:

— Ach, to niespodzianka, co się zowie! Kochany Ganimard tutaj!

— On sam.

— Pragnąłem wielu rzeczy w tem ustroniu, które sobie obrałem, ale żadnej tak gorąco, jak powitać tu pana.

— Niezmiernie brzmi to miło.

— Ależ nie, nie! czuję dla pana najwyższą sympatyę.

— Bardzo mi to pochlebia.

— Mówiłem zawsze: Ganimard jest najlepszym naszym urzędnikiem śledczym. Wart prawie tyle — widzi pan jak jestem szczery — co Sherlock Holmes. Ale, naprawdę przykro mi ogromnie, że mogę tylko służyć tym stołkiem. I niczem się ochłodzić! ani szklanki piwa! Proszę mi wybaczyć, jestem tu chwilowo...

Ganimard usiadł z uśmiechem, a więzień rad, że ma z kim mówić, ciągnął dalej:

— Mój Boże, jak jestem szczęśliwy, że wzrok mój odpocząć może na twarzy uczciwego człowieka! Mam dosyć wszystkich tych fizyognomii szpiegów, stróżów, którzy dziesięć razy na dzień przetrząsają moje kieszenie i tę moją celkę skromną, aby przekonać się wkońcu, że nie przygotowuję żadnej ucieczki. Do licha! cóż to za wyobrażenie ma rząd o mnie!...

— I ma słuszność.

— Ależ nie! Byłbym tak szczęśliwy, gdyby mi pozwolili żyć spokojnie w moim kąciku.

— Z rentą innych.

— Nieprawdaż? To takie proste. Ale ja tu gawędzę, mówię głupstwa, a panu może pilno. Do rzeczy zatem. Czemu zawdzięczam honor pańskich odwiedzin?

— Sprawie Cahorna — odrzekł Ganimard bez wstępu.

— Poczekaj pan chwileczkę... Tyle mam spraw na głowie! Muszę przedewszystkiem znaleść w moim mózgu tekę ze sprawą Cahorna... Aha! już wiem. Sprawa Cahorna, zamek Malaquis, niższa Sekwana... Dwóch Rubensów, jeden Watteau i jeszcze tam trochę drobiazgów!

— Drobiazgów!

— Och, upewniam pana, wszystkie są bardzo niewielkiej wartości. Bywają lepsze. Ale wystarcza mi, że pan się tem interesujesz. Mów zatem Ganimardzie.

— Czy mam powiedzieć, na czem stanęliśmy z badaniem?

— Zbyteczne. Czytałem dzisiejsze dzienniki. Pozwolę sobie nawet zrobić uwagę, że nie posuwacie się zbyt żywo.

— To właśnie jest przyczyną, że udaję się do pańskiej uprzejmości.

— Jestem na pańskie rozkazy.

— Więc naprzód: sprawa prowadzona była przez pana?

— Od A do Z.

— List i telegram?

— Sługa pański je pisał. Muszę nawet gdzieś mieć recepisy.

Otworzył szufladkę prostego stoliczka, który wraz z łóżkiem i stołkiem stanowił całe umeblowanie celi; wyjął stamtąd dwa zmięte świstki papieru i podał je Ganimardowi.

— Ach tak! — wykrzyknął inspektor. Sądziłem, że jesteś pan strzeżony i kontrolowany na najmniejszym kroku. Tymczasem czytujesz pan dzienniki, zbierasz pokwitowania pocztowe...

— Ba! Oni są tacy głupi! Rozpruwają podszewkę mojej kamizelki, przeglądają podeszwy moich butów, osłuchują mury celi, a nikomu z nich na myśl nie przyjdzie, że Arsen Lupin nie jest tak naiwny, aby dobierał sobie podobnie łatwe kryjówki. Liczyłem na to.

Ganimard ubawiony wykrzyknął:

— Zabawny z pana chłopak! imponujesz mi pan. Opowiedz że mi całą awanturę.

— Och, och! dokąd pan zaszedłeś! sięgasz pan po wszystkie moje tajemnice... chcesz odkryć moje małe figle. To staje się poważnem.

— Czyżbym zawiódł się, licząc na pańską uprzejmość?

— Nie Ganimardzie! i ponieważ nastajesz...

Arsen Lupin dwa, trzy razy przebiegł swoją celkę i nagle zatrzymał się przed Ganimardem:

— Co pan myślisz o moim liście do barona? — zapytał.

— Myślę, że chciałeś pan trochę się zabawić, rozśmieszyć galeryę.

— O, rozśmieszyć galeryę! daję słowo, myślałem, że jesteś domyślniejszy Ganimardzie. Czyż wdaję się w takie dziecińs\-twa ja, Arsen Lupin! Czyżbym pisał ten list, gdybym mógł oporządzić barona, nie pisząc do niego? Zechciejcie zrozumieć, pan i wszyscy, że list ten był punktem oparcia niezbędnym, sprężyną, która całą sprawę w ruch wprawiła. Poczekaj pan; przejdźmy po porządku, przygotujmy razem, jeśli pan życzysz, ograbienie Malaquis.

— Słucham pana.

— Otóż wyobraźmy sobie zamek szczelnie zamknięty, zabarykadowany, tak jak to było w Malaquis. Mamże dać za wygraną, wyrzec się skarbów, których tak pożądam, dla tego że zamek, gdzie są ukryte, jest niedostępny?

— Oczywiście nie.

— Lub może, jak to bywało niegdyś, zdobyć go szturmem na czele bandy awanturników?

— Dziecińs\-two!

— Czy zakraść się tam podstępnie?

— Niemożliwe.

— Pozostaje zatem jako środek jedyny, według mego zdania: kazać się zaprosić przez właściciela zamku.

— Oryginalny środek.

— A jaki łatwy! Przypuśćmy, że pewnego dnia rzeczony właściciel otrzymuje list ostrzegający o tem, co przeciw niemu zamierza tak zwany Arsen Lupin, znany włamywacz. Cóż uczyni?

— Odeśle list do prokuratora.

— Który go wyśmieje, ponieważ rzeczony Lupin znajduje się pod kluczem. A zatem rozpacz poczciwca, który gotów jest prosić o pomoc pierwszego lepszego; czy nie tak?

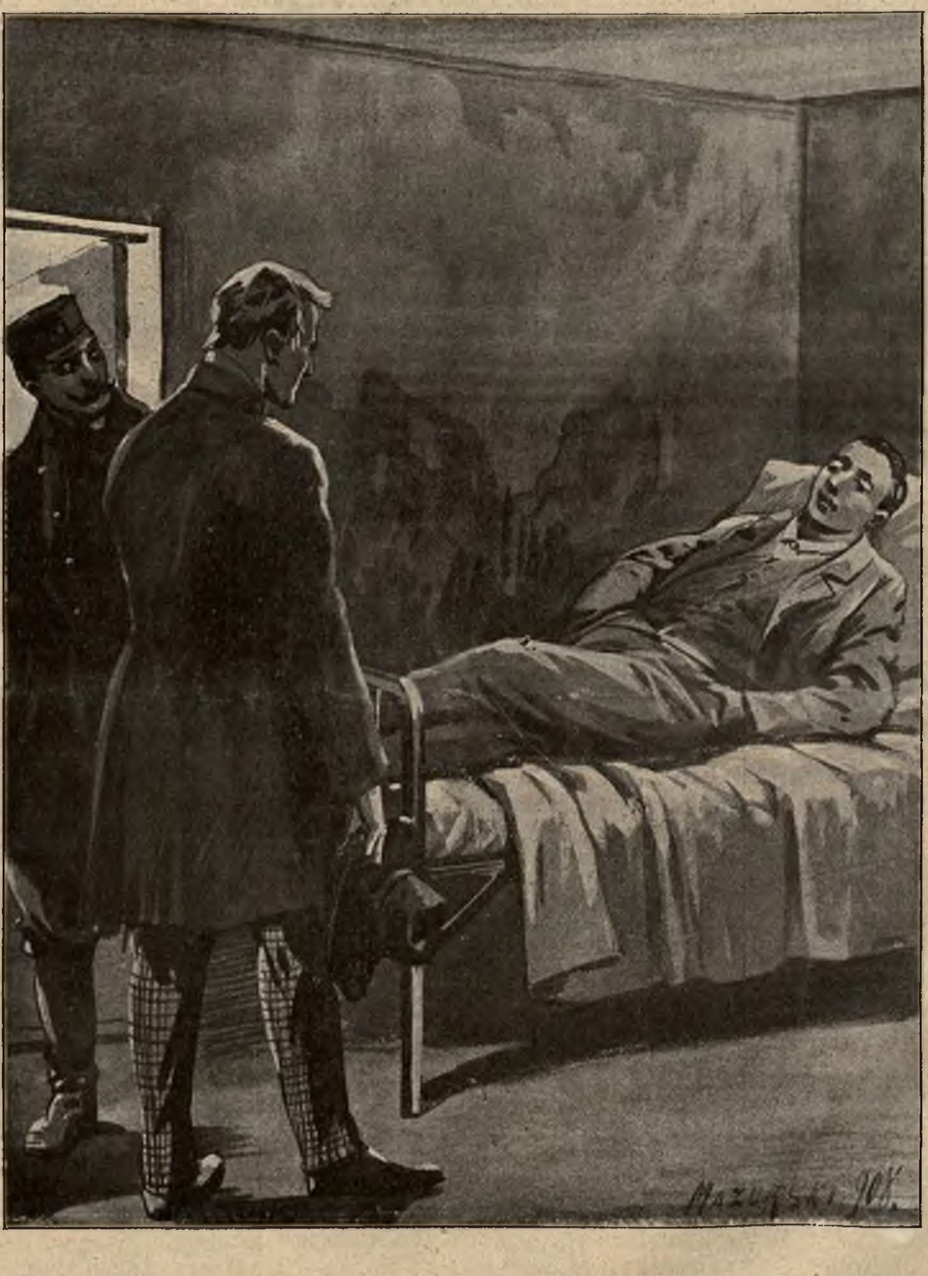
— Bez żadnego wątpienia.

— I jeśli zdarzy mu się na jakim liściu kapusty wyczytać, że sławny ajent policyjny znajduje się w sąsiedztwie niedaleko na willegiaturze...

— Zwróci się natychmiast do owego ajenta o pomoc.

— Rzekłeś pan. Ale z drugiej strony przypuśćmy, że w oczekiwaniu tego nieuniknionego wyjścia, Arsen Lupin poprosił uprzednio jednego ze swych najzręczniejszych przyjaciół, aby zamieszkał na czas jakiś w Caudebec, wszedł w stosunki z redaktorem *Reveil*, pisma, które czytuje baron, i dał się poznać jako taki a taki, sławny ajent policyjny; cóż z tego wyniknie?

— Że redaktor ogłosi zaraz w *Reveil* obecność w Candebec sławnego policyanta.



... wprowadzono Ganimarda do celi Lupina

— Doskonale! Otóż jedno z dwojga: albo ryba — chciałem powiedzieć Cahorn — nie idzie na wędkę i wówczas nic się nie staje — albo, i ta hypoteza jest prawdopodobniejsza, Cahorn przybiega drżący cały i błaga najlepszego z moich przyjaciół o pomoc przeciwko mnie!

— Coraz oryginalniej.

— Bardzo naturalnie; pseudo policyant odmawia z początku stanowczo. Tymczasem nadchodzi depesza Lupina. Przerażenie barona i jego ponowne błaganie z zaofiarowaniem pewnej sumy za swoje zbawienie. Rzeczony przyjaciel przyjmuje: zabiera z sobą dwóch zuchów z naszej bandy i ci, podczas gdy mój przyjaciel nie spuszcza z oka Cahorna, wyprowadzają przez okno pewną ilość przedmiotów, spuszczając je na sznurach do poczciwej małej szalupki, wynajętej *ad hoc*. Wszystko to proste jak sam Lupin.

— I tak dyabelnie gracko — wykrzyknął Ganimard — że niemam dość słów na pochwałę i dla tej śmiałości pomysłu i dla genialności szczegółów. Nie widzę tylko wcale owego znakomitego ajenta, któregoby imię mogło przyciągnąć i sugestyonować do takiego stopnia barona.

— Jest taki jeden i tylko on jeden.

— Kto?

— Najsławniejszy, osobisty nieprzyjaciel Arsena Lupin, jednem słowem inspektor Ganimard.

— Ja?

— Pan sam, Ganimardzie. I oto co najcudowniejszego: jeśli pan sam udasz się i jeśli baron zdecyduje się mówić, dojdziesz pan do wniosku, że pańskim obowiązkiem jest zaaresztować siebie samego, jak mnie zaaresztowałeś w Ameryce. Ha! komiczne wet za wet! każę Ganimardowi aresztować Ganimarda!

Arsen Lupin śmiał się z całego serca. Inspektor zły gryzł usta. Żart według jego zdania nie zasługiwał na takie wybuchy wesołości.

Wejście stróża więziennego dało mu czas zapanować nad sobą. Stróż przyniósł obiad, który Arsenowi w drodze szczególnej łaski wolno było sprowadzać sobie z sąsiedniej restauracyi. Postawiwszy półmisek na stole, stróż wyszedł. Arsen usiadł wygodnie, przełamał chleb, spożył parę kęsków i rzekł:

— Bądź pan spokojny, kochany Ganimardzie, nie pójdziesz do barona. Odkryję panu jedną rzecz, która pana wprawi w zdumienie: sprawa Cahorna zostanie wkrótce umorzoną.

— Hę?

— Zostanie wkrótce umorzoną, powiadam.

— Co? Idę przecież prosto od szefa policyi!

— Więc cóż? Czy pan Dudouis wie lepiej odemnie to, co mnie dotycze? Dowiedz się pan, że Ganimard — przepraszam — że pseudo-Ganimard był w bardzo dobrych stosunkach z baronem. Baron, i to jest główna przyczyna, dla której Ganimard nic nie zeznał, włożył nań bardzo delikatną misyę przeprowadzenia ze mną pewnej tranzakcyi i obecnie bardzo być może, iż baron za pomocą pewnej sumy wróci do posiadania swoich ukochanych drobiazgów. Wskutek tego cofnie swą skargę. A zatem nie było kradzieży. Zatem sąd porzuci wkrótce...

Ganimard przyglądał się więźniowi zdumiony.

— I skąd wiesz pan to wszystko?

— Otrzymałem właśnie depeszę, na którą oczekiwałem.

— Otrzymałeś pan teraz depeszę?

— W tej chwili właśnie mój przyjacielu. Przez grzeczność nie chciałem jej czytać w pańskiej obecności, lecz jeśli pan pozwolisz...

— Kpisz pan ze mnie, Lupin.

— Zechciej mój kochany przyjacielu zbić ostrożnie to jajo. Przekonasz się sam, że nie żartuję z pana.

Ganimard machinalnie usłuchał; trzonkiem noża rozbił jajo. Okrzyk zdumienia wyrwał mu się z ust. Pusta skorupa zawierała kartkę niebieskiego papieru. Na prośbę Arsena otworzył ją. Był to telegram; właściwie część telegramu, z którego wydarto wskazówki poczty. Ganimard czytał: „Umowa zawarta. Sto tysięcy pak wręczono. Wszystko dobrze“.

— Sto tysięcy pak? — powtórzył.

— Tak, sto tysięcy franków. Niewiele to, ale ostatecznie czasy są ciężkie... A wydatki ogólne takie duże! Gdybyś pan znał mój budżet... budżet wielkiego miasta!

Ganimard podniósł się. Zły jego humor rozwiał się zupełnie. Pomyślał trochę, rzutem oka ogarnął całą sprawę, starając się odkryć punkt najsłabszy. Poczem ozwał się tonem, w którym otwarcie brzmiało szczere uznanie fachowca:

— Na szczęście takich jak pan nie mamy tuzinami; inaczej przyszłoby tylko zamknąć budę.

Arsen Lupin spuścił skromnie oczy i odpowiedział:

— Cóż! trzeba jakoś się rozerwać, zapełnić czemkolwiek wolne chwile... tembardziej, że rzecz nie udałaby się, gdybym nie był w więzieniu.

— Jakto! — wykrzyknął Ganimard — pańska sprawa, obrona, śledztwo, wszystko to nie wystarcza panu dla rozrywki?

— Nie wystarcza, bo postanowiłem nie stawać na mojej rozprawie.

— Och, och!

(Ciąg dalszy nastąpi)

Krakowski Zeppelin.

Dziś, gdy w całym świecie łamią sobie głowy nad rozwiązaniem problemu balonów do sterowania, nie od rzeczy będzie zapoznać Czytelników



Krakowski Zeppelin: Franciszek Radomski.

i z naszym krakowskim Zeppelinem, który już od lat kilkunastu pracuje nad skonstruowaniem napowietrznego statku, któryby był posłuszny woli człowieka.

Pan Franciszek Radomski, którego podobiznę obok podajemy, jest mechanikiem w warstatach firmy Singera i Spółki, a nad swym wynalazkiem pracuje od lat przeszło dwudziestu już, a myśl zajęcia się aeronautyką przyszła mu przed laty, gdy był obecny we Lwowie przy wzlocie balonu Dumma. Odtąd zaczął robić próby, kombinował, obliczał, a wszystko wykonywał potem sam w swej pracowni mechanicznej. Pierwsze próby wypadły dość licho. jeszcze przeszłego roku model, acz funkcyonował, zacinał się od czasu do czasu i zawodził, teraz dopiero posiada gotowy typ aparatu, którego sprawności jest zupełnie pewny.

Ma on kształt cygara, którego przód celem łatwiejszego prucia powietrza, powinien być pokryty aluminium, u dołu łódź, w łodzi motor i przyrząd do sterowania. Motor będzie niewielki, najwyżej o sile 10 HP, a przyrząd do sterowania służy zarazem i do „popychania“ balonu, co właśnie, wraz z sposobem „zniecznlania“ balonu, stanowi tajemnicę wynalazcy. Dodać należy, że konstrukcya balonu jest bardzo prosta, niema żadnych przy nim śrub, skrzydeł, wiatraków itp.

Model, który pan Radomski skonstruował, poruszany jest zapomocą mechanizmu zegarowego, a po nakręceniu wzlatuje w powietrze w dowolnie obranym kierunku.

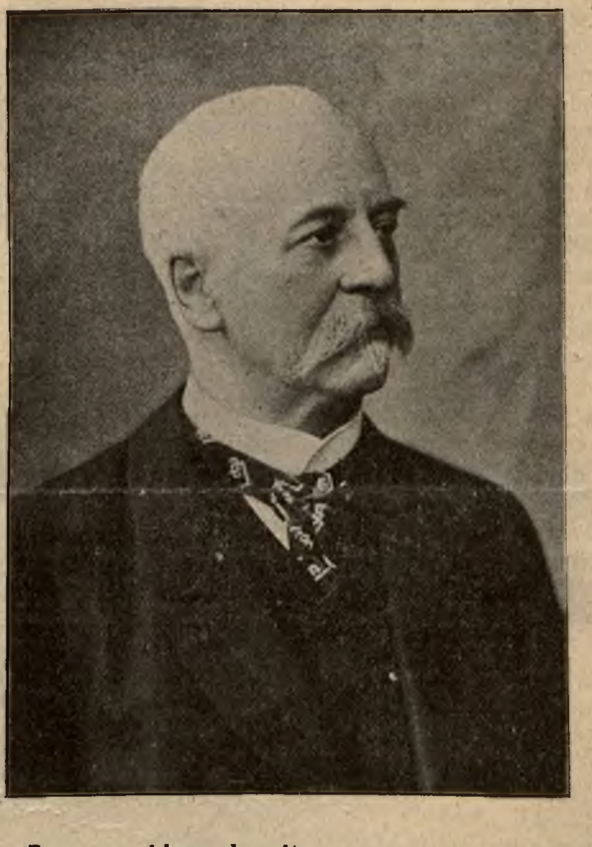
Publicznej próby nie zamierza wynalazca urządzić, gdyż mechanizm, jak sam powiada, jest taki prosty, że łatwo mógłby go ktoś podpatrzeć, a nie chce, aby potem kto inny, mający środki po temu, chlubił się wysiłkami jego dwudziestoletniej pracy.

Pan Radomski, mająteczek jaki posiadał, wydał na wprowadzenie w czyn swojej idei, od społeczeństwa nie doznał poparcia; zwracał się ze swym wynalazkiem do ministerstwa wojny, gdzie mu jednak powiedziano, aby zrobił wielki balon, a skoro się okaże dobry, to wtedy będzie można pogadać.... kołatał potem przez posła Popowskiego, ale i to bez skutku, w ostatnich latach dopiero zajął się tem ś. p. namiestnik Potocki i oświadczył, że jeśli zbuduje model, który będzie funkcyonował bez zarzutu, otrzyma fundusze na budowę wielkiego. Tymczasem śmierć namiestnika obróciła plany w niwecz — gotowy model czeka na kogoś, ktoby się nie bał zaryzykować coś około tysiąca koron, gdyż tyle mają wynieść koszta budowy statku. A że to, jak przysłowie mówi... „nikt prorokiem w ojczyźnie!“, może jeśli już nie w kraju, to za granicą zajmie się ktoś wynalazkiem pana Radomskiego, który jak z opowiadania widzimy, ma wszelkie szanse powodzenia — a obecny wiek, to przecież wiek pod znakiem Zeppelina, Wrighta i podobnych.

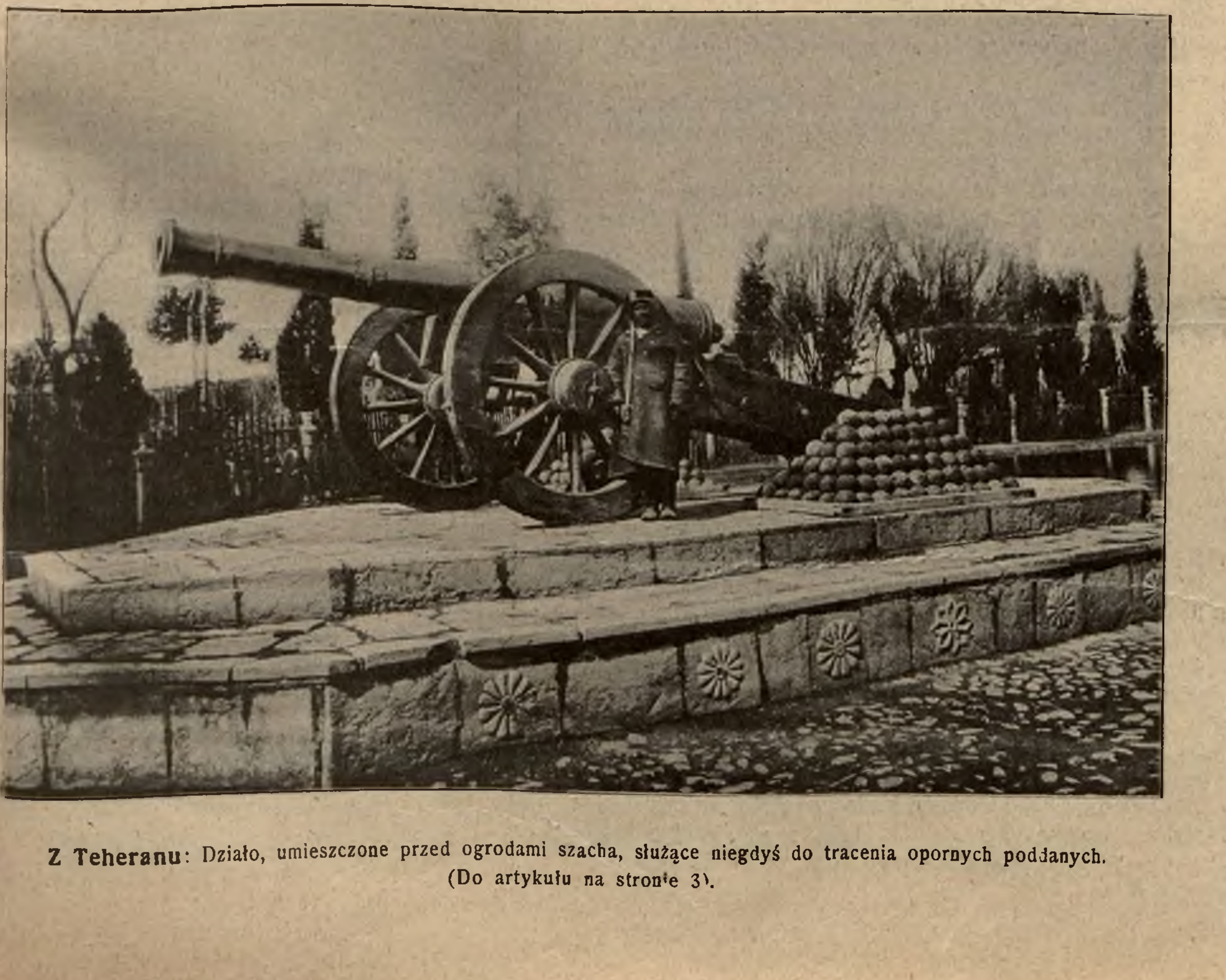
Smutnie to jednak świadczy o naszem społeczeństwie, że na marny tysiąc koron, który niejednemu nie zrobiłby różnicy, nikt się zdobyć nie może, aby w ten sposób dopomódz człowiekowi, który mając niegdyś swój własny warsztat mechaniczny i jaki taki fundusik, stracił to wszystko, aby tylko myśl swoją doprowadzić do urzeczywistnienia. Prawda — niejeden może powiedzieć, że tyle mieliśmy już rozmaitych próbek różnych wynalazków, które potem okazały się bezwartościowymi, że szkoda ryzykować — ale przecież bez ryzyka niema zysku! Możnaby jednak odbyć próbę, obejrzeć mały przyrząd, zbadać, o ile odpowiada nadziejom wynalazcy, a potem dopiero zdecydować się za lub przeciw budowie większego. Dzisiaj nawet zwolennicy awiatyki, tj. maszyn do latania, cięższych od powietrza, nie ukrywają się ze zdaniem, że balon ze sterem nie jest utopią i przy dobrych warunkach atmosferycznych może osiągnąć poważne rezultaty!



Z Teheranu: Grupa aktorów perskich w teatralnych strojach.
(Do artykułu na stronie 3).



Zgon pruskiego dygnitarza: Dr. Herman Lucanus.
(Do artykułu na str. 4).



Z Teheranu: Działo, umieszczone przed ogrodami szacha, służące niegdyś do tracenia opornych poddanych.
(Do artykułu na stronie 3).

Z ŻYCIA DNIA

(Niemowlęce choroby Niemców. — Narodowe ich nieszczęście. — Odezwa Wildenbrucha. — Dusza Zeppelina a ludność. — Prasa polska rozpacza razem z niemiecką. — C. k. biuro korespondencyjne. — Kawiarnie a dzienniki. — Nieco o pogodzie).

Po nieszczęsnym pogromie Francyi, to jest po roku 1870, Niemcy od czasu do czasu zapadają na jakąś chorobę niemowlęcą, na coś w rodzaju „ząbkowania“. Weszli pomiędzy „panów“ politycznych i zachowują się dotąd jak dorobkiewicze. Zaraz po wojnie postanowili otrząsnąć się z wszelkich naleciałości francuskich i rozpoczęli tę reformę wiekopomną od... *menu*, czyli spisu potraw. Przetłómaczyli tedy uczeni profesorowie na język niemiecki wszystkie francuskie nazwy potraw i w ten sposób powstał patryotyczny pruski *Speiszettel*. Powiedziano sobie *ab Jove principium* i zreformowany spis potraw przedłożono Wilhelmowi, dziadkowi obecnego cesarza. Stary Wilhelm odczytał najnowszy dokument wyzwolonej kuchni pruskiej i odpowiedział z całą dobrodusznością: „Bardzo dobrze, ale za każdym razem dodajcie tłómaczenie francuskie, ażebym wiedział, co będę jeść“.

Po „ząbkowaniu“ kulinarnem przyszła kolej na „ząbkowanie morskie“. Niemcy zaczęli się rozbijać na morzu i pragnęli dorównać Anglikom. Gdy okręty ich przejeżdżały przez równik, marynarze niemieccy z całym zapałem nowicyuszów urządzali uroczystość na uczczenie Neptuna, polegającą na przebieraniu się i zlewaniu wodą. Marynarze angielscy, francuscy, włoscy, z dawien dawna obyci z morzem, zarzucili ten zwyczaj, ale Niemcy uprawiali go przez długi czas, chcąc w ten właśnie sposób udowodnić, że są wilkami morskimi.

Pisał o tem Sienkiewicz w swoich „Listach z Afryki“, a przy tej sposobności przypomniała mu się owa stara panna, która po ślubie i uczcie weselnej udała się do matki ze zwyczajową prośbą, ażeby córkę wtajemniczyła w arkana małżeńskiego życia.

Obecnie chorują Prusacy na „ząbkowanie“ aeronautyczne. Na całej kuli ziemskiej rozbrzmiewa hasło o podboju powietrza, a Francuzi rej wodzą na tem polu. Oczywiście Prusacy powiedzieli sobie, że muszą co najmniej sprostać Francuzom i zabrali się z całą furyą do budowania balonów. Pomiędzy pruskimi aeronautami wybił się na pierwszy plan były generał, hr. Zeppelin, który jak wiadomo, obecnie miał przedsięwziąć wobec komisyi rządowych rzeczoznawców dwudziestoczterogodzinną podróż swoim balonem. Przed tą stanowczą podróżą hr. Zeppelin puścił się w podróż próbną z Friedrichshafen nad jeziorem Bodeńskiem do Mannheimu, a stamtąd napowrót do Friedrichshafen. Otóż podczas powrotu musiał hr. Zeppelin wylądować pod Echterdingen, gdzie go zaskoczyła gwałtowna burza. Łódź balonu, rzucona siłą wichru o motor, spowodowała wybuch i zapalenie się gazu, skutkiem czego balon spłonął doszczętnie.

Wypadek nie pierwszy i nie ostatni w dziejach aeronautyki. Gdy angielski balon *Nulli secundus* został zniszczony, nie przypominam już sobie w jaki sposób, Anglicy powiedzieli zwyczajne *Goddam*! i zabrali się do budowy nowego balonu. Mniej zimnej krwi okazali Francuzi w ubiegłym roku, kiedy burza zerwała z uwięzi ich wspaniały balon *Patrie* i uniosła go na wieki w przestwory powietrzne.

Co prawda Francuzi byli słusznie zaniepokojeni, że jeżeli balon spadnie cało na ląd, budowa jego przestanie być tajemnicą. Pozatem zabrali się spokojnie do budowy balonu pod nazwą *Republique*, który obecnie pełni służbę. Wprawdzie niektóre dzienniki paryskie pisały, że to żałoba narodowa, ale były to dzienniki bulwarowe, po naszemu brukowe, które musiały wymyśleć efektowne hasło dla „kamlotow“, sprzedających gazety po ulicach Paryża.

Gdy spłonął balon hr. Zeppelina, ogarnęła Niemców rozpacz tak silna, że aż wyglądająca na sztuczną. Rozpacz z jakiego powodu? Czy z powodu straty materyalnej, stosunkowo niewielkiej? Czy z powodu straty czasu, potrzebnego do wybudowania nowego balonu wedle zachowanych rysunków? Pieniądze na nowy balon już się znalazły, a kilka miesięcy czasu, poświęconego celem wybudowania nowego balonu, to poprostu drobnostka. Ale Niemcy rozpaczali na potęgę, usiłując wmówić w cały świat, że powinien także ręce łamać...

Ernest Wildenbruch, pruski bard, chodzący zawsze na szczudłach patryotyzmu, ogłosił odezwę do narodu, w której powiada o Zeppelinie: „Gdy taka dusza cierpi, cała ludzkość cierpi“. Panie Wildenbruch — ludzkość ubolewa nad Zeppelinem, jeżeli jednakże cierpi, to musi mieć do tego inne, nieskończenie donioślejsze powody. Trzeba nie mieć żadnego poczucia miary, ażeby w podobny sposób apelować do ludzkości. A wogóle Prusacy nie powinni odwoływać się do ludzkości, oni, którzy ją swoją całą polityką codziennie policzkują.

Co najpocieszniejsze, to fakt, że prasa galicyjska z powodu narodowego nieszczęścia Niemców rozpaczała i łamała ręce razem z nimi. Dzięki patryotycznej usłużności c. k. wiedeńskiego biura korespondencyjnego prasę naszą zalewały telegramy o katastrofie pod Echterdingen, prócz tego zaś dzienniki *expriopria diligentia* rozpisywały się na metry o niemieckiej żałobie narodowej. Dzięki temu taki Lehmann w pruskiej mieścinie, albo Müller w knajpie monachijskiej czytał o Zeppelinie takie same biadania z niemieckich „blattów“, jak proboszcz nasz pod Babią górą, albo obywatel na Podolu, albo wreszcie gość kawiarni Bisanza. To jest naturalnie ideałem braterstwa narodów.

Niekoniecznie. Berent w jednej z powieści swoich, zdaje mi się w „Próchnie“, nazwał to zupełnie trafnie „moralną *Sachsengängerei*“. Wspomniane c. k. biuro korespondencyjne w Wiedniu przez dwie filie swoje we Lwowie i w Krakowie częstuje dzienniki polskie przeważnie wiadomościami, pochodzącemi z Berlina. Dzięki tej okoliczności prasa polska w Galicyi otrzymuje wiadomości telegraficzne, zabarwione tendencyą niemiecką, a w dodatku bardzo często nie mające dla nas żadnego znaczenia.

W nauce, sztuce, polityce, literaturze robią sobie w ten sposób Niemcy bezpłatną reklamę. A co do przeróżnych doniesień, dla nas obojętnych, to często musi czytelnik karmić się telegramami, wprost komicznemi. Co naprzykład może obchodzić Krakowianina, że pod Berlinem jakiś radca komercyjny wpadł z automobilem do rowu i potłukł się. A gdyby sobie nawet kark skręcił, to jeszcze nas podobny wypadek nic a nic nie obchodzi. Ale berlińska agencya telegraficzna dała tę wiadomość c. k. wiedeńskiemu Biuru korespondencyjnemu, które znowu częstuje nią zarówno dzienniki w Wiedniu, jak w Pradze, Krakowie i Lwowie.

O wiadomości z Królestwa Polskiego biuro korespondencyjne nie stara się. Szkoda kosztów, a zresztą o Warszawie dowiaduje się to biuro znowu za pośrednictwem Berlina. Jak sojusz, to sojusz we wszystkiem. Berlin w myśleniu wyręcza Wiedeń, któremu narzuca swoje poglądy, a Wiedeń usiłuje to samo czynić wobec Krakowa i Lwowa, niestety nie bez skutku. Nowe dobrodziejstwo centralizmu. Nawet zmyślone wiadomości jako dowcipy na *prima aprilis* dostają się tą drogą do naszej prasy.

Swoją drogą polska prasa w Galicyi przyjmuje ten stan rzeczy z cierpliwością, która w innym razie byłaby rzeczywiście podziwienia godną. Biuro korespondencyjne daje telegramy, dziennik żywcem je drukuje i obie strony są widocznie zadowolone. Ale jest trzecia strona w tej sprawie, a mianowicie czytelnik, mający pewne prawo do żądania, ażeby go nie częstowano wiadomościami, dla niego obojętnemi, a co gorsza śmiertelnie nudnemi. Co więcej dziś jeszcze widać, że niektóre dzienniki galicyjskie dobrowolnie oddają się pod wpływ prasy wiedeńskiej, powtarzając bezkrytycznie jej sądy nietylko z zakresu polityki, ale i literatury i sztuki. Zamiast się informować o sprawach angielskich za pomocą tamtejszych dzienników, a o sprawach francuskich za pomocą prasy francuskiej, niejedna redakcya polska uważa ten lub ów dziennik wiedeński za dostateczne uniwersalne źródło, z którego czerpie wiadomości o Chinach i Turcyi, o Włochach i Francyi, o prądach politycznych, naukowych, literackich, artystycznych. Niewesołe, ale prawdziwe.

Nie znęcajmy się już nad prasą. Zaglądnijmy do kawiarni i przeglądnijmy, a zwłaszcza przeliczmy pisma, znajdujące się w kawiarnianej czytelni. Znajdziesz czytelniku co prawda zazwyczaj wszystkie pisma polskie z Galicyi, ale Warszawę, stolicę Królestwa Polskiego, ba, całe Królestwo, reprezentuje z reguły jeden jedyny *Kuryer Warszawski*. Tak samo dzieje się z Poznaniem. Gazeta polska z Cieszyna, albo z Bytomia, z Wilna albo Kijowa — to rzecz u nas nieznana zupełnie. Z obcej prasy posiada kawiarnia zwykle jeden dziennik paryski, czasem jakiś dziennik londyński, co zresztą wystarcza. Ale zato dla prasy niemieckiej, specyalnie dla wiedeńskiej, kawiarnie nasze stoją naoścież otworem. Dzienniki niemieckie znajdują się w kawiarniach naszych prawie w tej samej liczbie, co polskie. Gdybyśmy stąd mieli wysnuć wniosek co do narodowości mieszkańców Krakowa, to musielibyśmy przypuścić, że połowa naszej ludności jest niemiecką. A szczególną predylekcyę mają kawiarnie nasze do humorystycznych tudzież illustrowanych pism niemieckich.

Przeróżne humorystyczne piśmidła niemieckie, natrząsające się często z naszych uczuć narodowych, leżą na stolikach naszych kawiarń, jako dowody niedołęstwa i obojętności Polaków, gdyż tolerancyą nazwać tego nie można.

Ile grosza z krzywdą dla prasy polskiej idzie w ten sposób do kieszeni Niemców, nietrudno obliczyć, równie jak nietrudno stwierdzić, jak ujemnie działa czytanie dzienników niemieckich na bezkrytycznych lubowników obcego słowa drukowanego. Taki czytelnik, codziennie prawie karmiąc się elukubracyami prasy niemieckiej, upatrującej wszystkie cnoty w narodzie niemieckim, sławiącej jego cywilizacyę, a zbyt często wprost bezczeszczącej imię polskie — powoli przesiąka pruskim jadem i staje się nielitościwym, a zjadliwym krytykiem swojskich stosunków. Takiemu panu wydaje się, że niemiecki dziennik jest „oknem, otwartem na Europę“, polskie zaś pismo zaściankowem wydawnictwem. I wygląda przez to okno tak długo, aż wreszcie nabawi się daltonizmu narodowego. Staje się ślepym na barwy narodowe. To jest niemałem złem, które należałoby wreszcie usunąć. Przecież jesteśmy na własnych śmieciach.

Będziemy wreszcie mieć pogodę, czy nie? W chwili, a raczej w godzinie, gdy piszę niniejszą kronikę, niewesołym rozpamiętywaniom moim towarzyszy monotonne padanie deszczu. Dostaję gazetę wieczorną i szukam w niej prognozy centralnego zakładu meteorologicznego w Wiedniu. Prognoza dla Galicyi zachodniej brzmi dosłownie: „Pogodnie, mierne wiatry, temperatura wyższa, stan niezmieniony. Ogólny charakter pogody trwa dalej“. Prognoza ta, nieco podobna do wyroczni delfickiej, nie wróży niestety dobrze o przyszłości. Bo jeżeli „ogólny charakter pogody trwa dalej“— w takim razie będziemy mieć znowu deszcze dla... odmiany.

Na szczęście i zakłady meteorologiczne mylą się często. Może już wyczerpały się upusty niebieskie i zawita wreszcie upragniona pogoda. Podwójnie upragniona pogoda, zbliżają się bowiem podwójne święta. Niech tylko słońce nam dopisze, a cały Kraków urządzi secesyę za mury miasta. Kronikarz weźmie udział w tej secesyi, którą *con amore* opisze, wyda w osobnej odbitce i sprzeda tyle egzemplarzy, iż kupi sobie realność na gruntach pofortyfikacyjnych. Co daj Boże! — to jest najpierw pogodę dla wszystkich, a potem realność dla kronikarza. Jestem altruistą.

h. j—e.



Zaburzenia robotnicze we Francyi.

W chwili gdy prezydent Falliéres opuścił granice swej ojczyzny, by odwiedzić zagraniczne dwory panujących, socyaliści francuscy dali znak życia, urządzając w dniu 30 lipca próbę generalnego strejku w bliskości Paryża, gdzie zresztą od kilku miesięcy trwa strejk robotników ziemnych. Zaznaczyć wypada, że z pośród francuskich socyalistów jedynie górnicy są jako tako zorganizowani, gdyż około 40% robotników zajętych w górnictwie należy do organizacyi, gdy w innych zawodach zaledwie 5—10% ogólnej liczby zatrudnionych potrafiło się jako tako zorganizować.

Miejscowości Draveil i Vigneux, gdzie był strejk, leżą przy pięknem miasteczku Villeneuve, nad brzegami Sekwany, a zamieszkane są przez drobne mieszczaństwo, radykalne wprawdzie z przekonań, lecz przywiązane do republiki.

Ponieważ w Draveil były burzliwe manifestacye, „Konfederacya pracy“ ogłosiła w Paryżu „strejk powszechny“ na 24 godzin, a około 4—5 tysięcy strejkujących usłuchało wezwania i koleją i tramwajami, oraz pieszo, pospieszyło do Draveil i Vigneux. W Villeneuve przyszło do zatargu z wojskiem, sprowokowanego przez strejkujących, którzy dali do wojska kilka strzałów rewolwerowych. Wojsko odpowiedziało salwą, której ofiarą padło czterech zabitych i około pięćdziesięciu rannych.

Na ulicach pobudowano barykady z desek i drutu, aby powstrzymać szarże kawaleryi, najzaciętszą walkę stoczono koło dworca kolejowego, dokąd schroniły się gromady manifestantów.

W sferach radykalnych socyalistów zapanowało naturalnie oburzenie na rząd i wojsko, zostające pod dowództwem generała Virvaire, natomiast opinia publiczna całej umiarkowanej Francyi zwróciła się przeciw socyalistom i domaga się rozwiązania „Konfederacyi pracy“, które będzie ciosem dla francuskiego ruchu zawodowego. Pomimo hasła rzuconego przez „Konfederacyę“, z wezwaniem do strejku generalnego na poniedziałek i wtorek, w całym Paryżu odbywała się praca normalnie, pracowali nawet robotnicy ziemni. Na placach budowlanych pojawiły się wprawdzie małe grupki strejkujących, którym udało się część pracujących odciągnąć od pracy, policya jednak dawała pilną baczność, aby nigdzie nie zakłócono spokoju. Także w Villeneuve i w okolicy nie było w ciągu nocy z 30. na 31. lipca, ani w dniu następnym żadnych niepokojów.

Bieżący numer przynosi kilka fotograficznych zdjęć z miejsca rozruchów, przedstawiających chwilę po uspokojeniu manifestacyi.



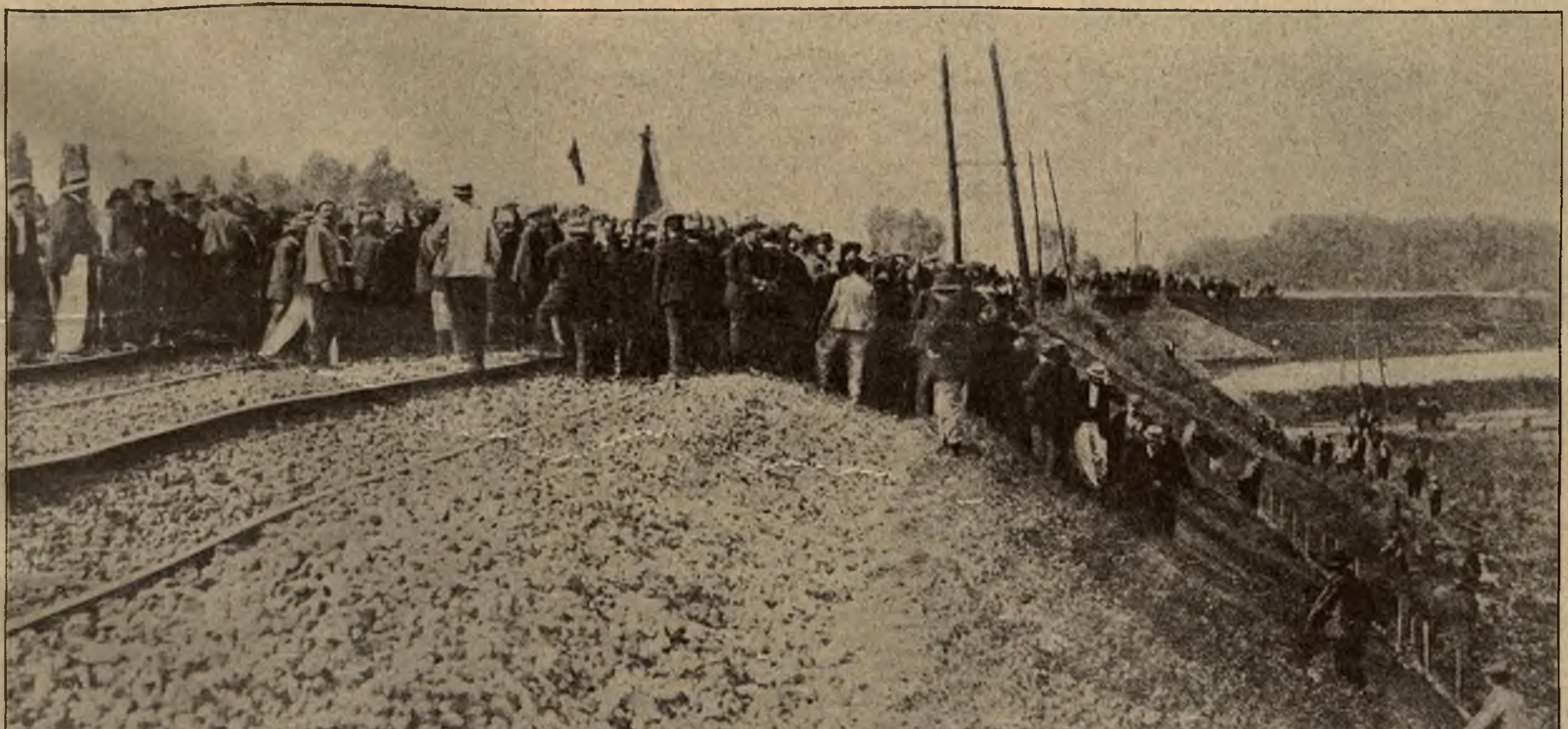
Zaburzenia robotnicze we Francyi: Żandarmerya usuwająca barykady.



Pogotowie wojskowe; na froncie generał Virvaire i dwaj jego adjutanci.



Zaburzenia robotnicze we Francyi: Zgromadzenie demonstracyjne w Vigneux.



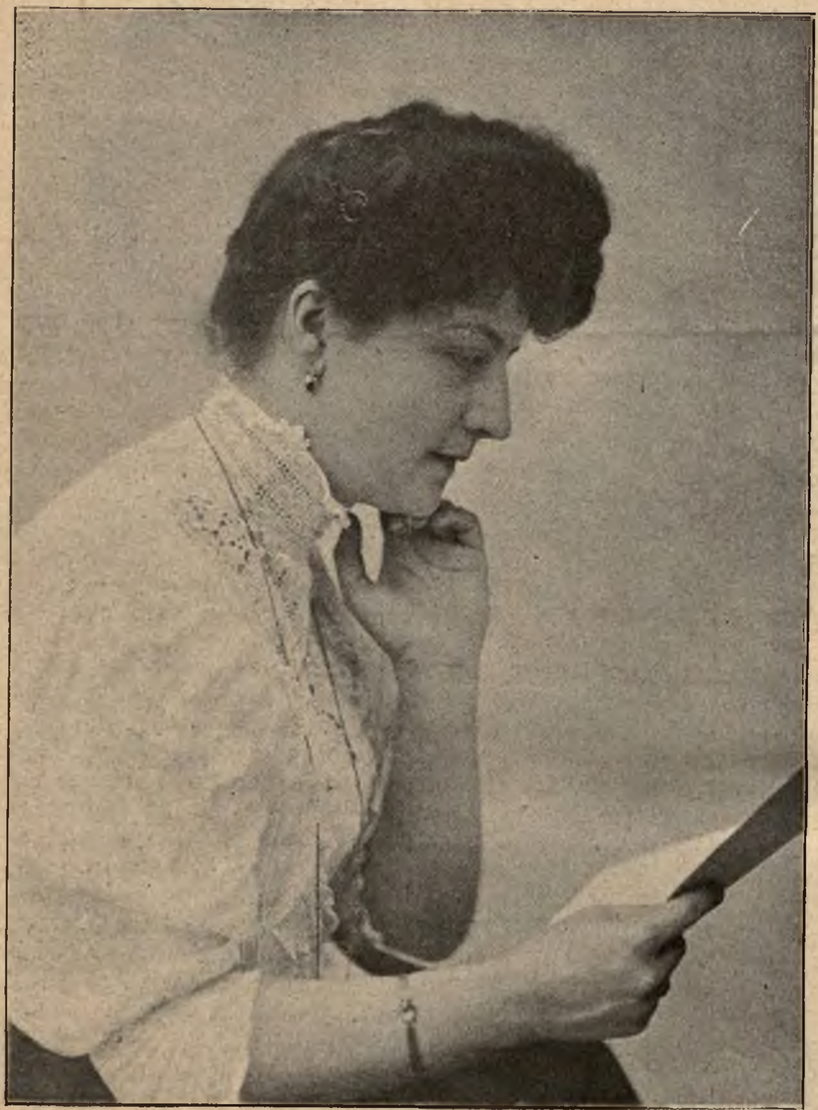
Zaburzenia robotnicze we Francyi: Grupa manifestantów na nasypie kolejowym pod Vigneux.

Operetka w Krakowie.

Sezon opery i operetki w Krakowie a w związku z tem pobyt sympatycznej drużyny śpiewaczej lwowskiej dobiega końca. Można więc dziś rzucić okiem na całość *staggione* i poświęcić mu parę słów. Chodzi zwłaszcza o operetkę i jej przedstawicieli, gdyż o operze niejednokrotnie w ciągu dwumiesięcznego sezonu zamieszczały *Nowości Illustrowane* obszerne nawet wzmianki.

Charakterystyczną jest zaś rzeczą, że „poważny“, „wysoce kulturalny“, pogardliwie zwykle i z pewną nonszalacyą wyrażający się o zamiłowaniu operetkowem Lwowa Kraków, te „polskie Ateny“, większą życzliwością i sympatyą otacza właśnie operetkę, niż operę. I mogło się tu zdarzyć coś tak smutnego, jak odwołanie nieznanej dotąd w Krakowie a bardzo pięknej opery „Andrzej Chenier“ z powodu zupełnego braku zainteresowania wśród publiczności, czego jaskrawym dowodem było to, iż biletów na to przedstawienie rozsprzedano za znikomo niską kwotę. Natomiast operetki stale „robiły kasę“ i wy-

pełniały widownię szczelnie. A objaw ten jest o tyle charakterystyczniejszy iż poziom przedstawień operowych w tym sezonie, stał na ogół wyżej, niż operetkowych. Między temi ostatniemi bowiem było kilka reprezentacyi wcale nieszczególnych.



Operetka w Krakowie: Helena Schupp.

Stałem i niezawodnem powodzeniem cieszyła się operetka Lehara „Wesoła wdówka“ i choć już w zeszłym roku poszła 22 razy, w tym sezonie wypełniła teatr jeszcze kilkanaście razy. Widocznie więc i miła muzyka tej operetki i doskonałe jej wykonanie przypadło do smaku krakowskiej publiczności.

Mniej szczęścia miała dyrekcya teatru z najnowszym nabytkiem swego repertuaru, z „Mężem trzech żon“ Lehara. A jest to rzecz równie melodyjna, jak „Wesoła wdówka“ i wystawiono ją także bardzo starannie.

Natomiast podobała się nadzwyczajnie i ogromne miała powodzenie operetka Straussa „Czar walca“, po raz pierwszy w tym roku w Krakowie wystawiona. Ładna wystawa, sympatyczna muzyczka, humor i werwa, oraz doskonała gra artystów w niej występujących, zrobiły swoje i zapewniły „Czarowi walca“ szereg dobrych przedstawień.

W personalu operetki lwowskiej nie zaszły prawie żadne zmiany. Jak zawsze prym wiodą panie, a wśród nich Kasprowiczowa, Kliszewska, Miłowska i Schupp. We wszystkich operetkach, jakie w tym roku w krakowskim teatrze wystawiono, one wysunęły się na pierwszy plan zarówno grą zawsze doskonałą, pełną dowcipu i życia, oraz starannem opracowaniem swych ról, jak prawdziwie artystycznem wokalnem ich ujęciem. — Gorzej było z płcią brzydką, a będzie jeszcze gorzej, gdy ustąpi „dusza“ operetki lwowskiej, jej reżyser p. Lelewicz, chyba że dyrekcya znajdzie godnego jego następcę. Jeszcze fatalniejszy jest brak dobrze śpiewającego amanta.

Z pośród artystów operetki wyróżnienie należy się p. Krzewińskiemu; młody ten, utalentowany artysta, syn znanego muzyka i kompozytora Maszyńskiego (nazwisko Krzewiński jest pseudonimem artysty), dał już niejednokrotnie dowody, iż jest siłą w operetce bardzo użyteczną. Jako komik charakterystyczny tworzy typy nawskróś oryginalne, pełne smaku i elegancyi, pozbawione szarży i trywialności. Jedna z popisowych jego ról, to Joachim książę Flanzenturmu w „Czarze walca“.

Z reszty zespołu pp. Layman, Miłosza, Solnicki, Sulikowski i t. d. przyczyniają się w miarę sił i warunków do powodzenia operetki.



Operetka w Krakowie: Helena Miłowska.



Jadwiga Dębicka.

Jadwiga Dębicka.

Wśród grona artystów, którzy w tym roku wchodzili w skład operowej trupy lwowskiej podczas jej gościnnych występów w Krakowie, zwróciła na siebie uwagę jedna z najmłodszych śpiewaczek, debiutantka niemal, Jadwiga Dębicka.

P. Dębicka jest Lwowianką i w swem rodzinnem mieście rozpoczęła kształcenie się w śpiewie, pod okiem zaszczytnie znanej nauczycielki pani Zofii Kozłowskiej, z której szkoły wyszło już tyle pożytecznych sił artystycznych. P. Dębicka zajmuje w ich rzędzie bardzo poczestne miejsce. Pomijając nadzwyczajnie sympatyczne warunki zewnętrzne, młodość, urodę i moc wdzięku, cechuje młodą śpiewaczkę bardzo piękny głos sopranowy, o miłym timbrze, donośny zwłaszcza w wysokich tonach.

Karyerę sceniczną rozpoczęła p. Dębicka w tym roku, śpiewając we Lwowie pod koniec sezonu operowego „Halkę“. W Krakowie wystąpiła kilkakrotnie. Śpiewała mianowicie Antonię w „Opowieściach Hoffmana“, Micaëlę w „Carmenie“, Hannę w „Strasznym dworze“. Wszystkie partye były opracowane bardzo starannie pod każdym względem, przysporzyły też jej dużo oklasków i uznania.

Dalsza praca młodej śpiewaczki i sumienne studya zapewniają jej przyszłość niewątpliwie piękną.



Operetka w Krakowie: Julian Krzewiński (Maszyński).

U wrót śmierci

Powieść wysnuta z aktów paryskiego archiwum karnego,

przez M. Level'a.

6 Ciąg dalszy.

Tymczasem koło ogrodzenia domu zatrzymywali się przechodnie, zwabieni obecnością agentów. Wkrótce zebrała się grupka ludzi, namiętnie dyskutujących o przyczynach pojawienia się policyi. Ktoś tłomaczył: to rewizya z powodu sprawy politycznej. Znalazł się jednak jakiś czytelnik *Matin*, który podał zebranym wiadomość o morderstwie. Przytaczał już szczegóły, określał nawet godzinę, w której morderstwo popełniono, napomykając z lekka o tajemniczych przyczynach tego dramatu. Poczęto oskarżać zaraz policyę o niedbalstwo i powolność: w niebezpiecznej dzielnicy nigdy nie znajdzie się ani jednego policyanta, zwłaszcza gdzie apaszów pełno.

I poco oni tam czas tracą, kiedy winni raczej rozpocząć natychmiast poszukiwania za sprawcami. Początkowo Coche przysłuchiwał się tym rozmowom z uśmiechem na ustach, wkrótce jednak przestał się niemi zupełnie zajmować. Myśl jego śledziła po przez mury komisarza; odgadywał, jak on mija kurytarz, wchodzi na schody, wahając się, któremi drzwiami ma wejść do środka. Przez chwilę doznał obawy na myśl, że zbrodniarze mogli pozostawić niedostrzeżone przez niego ślady swej bytności, a wtedy wszelkie jego starania okazałyby się daremnemi. Doszedł jednak do innego przekonania, jeżeliby bowiem istotnie tak było, to komisarz znajdowałby się już w pokoju, tymczasem panuje tam jeszcze zupełna cisza. Przypatrywał się czterem oknom, pragnąc odgadnąć, które z nich należy do pokoju sypialnego, które otworzy się pierwsze?

Nagle w zebranym tłumie odczuć się dało poruszenie jakieś, wszyscy zwrócili oczy na front domu, gdzie rozwarło się jedno okno, z którego wyjrzała jakaś głowa. Coche spojrzał na zegarek: było trzy minuty po dziewiątej. W chwili więc tej policya wiedziała już część sprawy, jaka się tutaj w nocy, właśnie ośm godzin temu rozgrywała. Obecnie należało przedewszystkiem dowiedzieć się, jakie wrażenie odniósł komisarz. To pierwsze wrażenie, które przeważnie bywa ujemnem, wpływa w znacznym stopniu na tok całego śledztwa. Nieumiejętny agent chwyta się pierwszego śladu i chce z niego wysnuć odrazu całą sprawę, prawdziwy jednak detektyw bada powoli, lecz szczegółowo cały teren operacyjny, wiedząc z doświadczenia, iż najczęściej najdrobniejszy szczegół posiada największe znaczenie.

Tymczasem koło domu zebrała się tak znaczna ilość ciekawych, iż przywołano umyślnie kilku policyantów, aby strzegli porządku. Wszystkich odsunięto na bok, tak iż przy ogrodzeniu domu znalazł się tylko Coche w towarzystwie kilku przybyłych pospiesznie reporterów, którzy zasypywali go gradem zapytań.

Przedstawiciel *Matin*, odznaczający się niezwykle płynną wymową, tym jednak razem odpowiadał niechętnie, monosylabami. Nie wiedział nic, czekał jak i inni na komisarza. Jeżeliby posiadał jakie wiadomości, z przyjemnością podzieliłby się niemi z kolegami. Zazwyczaj dziennikarze, obdarzani przez redakcyę w ważniejszych wypadkach tytułami „specyalnego korespondenta“, dzielą się wzajemnie zebranemi informacyami, tak iż następnie depesza wysłana do dziennika jest owocem przedsiębiorczości kilku, a nieraz i kilkunastu reporterów.

W ten sposób każdy z takich korespondentów ma możność dostarczenia swemu dziennikowi daleko większej ilości szczegółów o danym fakcie, niżby je mógł zebrać sam, rozwijając nawet niezwykły spryt. I Coche bronił się teraz przed wyrzutami kolegów, iż nic nie chce powiedzieć, przypominaniem spraw, w których udzielił im wcześniej zdobytych wiadomości.

Czas mijał, a z domu nikt nie wychodził. Jeden z reporterów doszedł do tego wniosku, iż owocem dotychczasowego ich czekania jest tylko „pewne pragnienie“ i że wskutek tego możnaby z równem powodzeniem czekać dalej w jakiejkolwiek kawiarni. Lecz gdzie tu znaleść jaką w tej zapadłej dzielnicy?

— Kilkadziesiąt kroków stąd, na końcu bulwaru — poinformował ich jeden z obecnych.

— Doskonale! Chodźmy więc; a wy, Coche, idziecie?

— Żałuję bardzo, lecz w tej chwili nie mogę. Idźcie, a ja za kilka minut zjawię się tam.

Coche pozostał sam. Z przyjemnością patrzył, jak się oddalali. Doznał pewnej ulgi, gdy wreszcie znalazł się sam, w ich bowiem obecności musiał ciągle uważać na siebie, by jakiem niebacznem słowem nie zdradzić się ze swą tajemnicą. Jednocześnie jednak po ich odejściu opanował go dziwny niepokój oczekiwania; z jednej strony cieszył się, że policya gmatwa się w zastawionych przez niego sidłach, z drugiej natomiast strony paliła go ciekawość poznania zebranych przez nią szczegółów...

Z zebranego tłumu dochodziły go ciągłe rozmowy, jakie wiedli ze sobą zgromadzeni przechodnie. Sąsiedzi opowiadali, że starzec wychodził bardzo rzadko, tylko po zakupno prowiantów. Nieraz latem przechadzał się wieczorami po swym ogródku, nigdy jednak nikogo nie przyjmował, sam przyrządzał sobie potrawy i sam doglądał porządku koło swej posiadłości; wogóle prowadził życie ciche i jakieś tajemnicze, które napróżno obecnie starano się przeniknąć.

Koło południa dopiero wyszedł z domu komisarz w towarzystwie sekretarza i inspektora. Zatrzymali się wszyscy w ogrodzie, oglądali ściany domu, przypatrywali się oknom, rozmawiając ciągle z żywością, potem skierowali się ku wyjściu. W chwili tej zbliżył się do nich Coche.

— I cóż panie komisarzu?

— Pańskie informacye okazały się niestety prawdziwemi.

— Czy teraz więc, po stwiedzeniu faktu, można tam wejść na chwilę?

— Mogę zapewnić pana, iż nic tam niema niezwykłego. Pragnę bardzo ułatwić panu zebranie jak najwięcej szczegółów i jeżeli zechce mi pan towarzyszyć do biura, postaram się opowiedzieć po drodze wszystko, co widziałem; dodam tutaj zaraz, iż wyrobiłem już sobie zdanie o całej zbrodni...

— Odkrył pan zapewne ślady jakieś?...

— Proszę mi tylko, panie Coche, nie stawiać zbyt wiele zapytań... A co pan czynił przez ten czas?

— Rozmyślałem... słuchałem... przypatrywałem się...

— I to wszystko?

— Mniej więcej...

— To nie wiele. Widzi więc pan teraz, iż jeżeli ja nie udzielę informacyi, nie będzie mógł pan przygotować na wieczór swego artykułu. Niech się pan jednak nie obawia, więcej panu opowiem, niż potrzeba do zapełnienia dwóch kolumn.

— Wobec pańskiej uprzejmości i ja czuję się zniewolonym do wyznania swych spostrzeżeń. W czasie tych trzech godzin, które spędziłem pod ogrodzeniem, jak już panu powiedziałem, rozmyślałem, słuchałem i przypatrywałem się. Przyznam, że rozmyślaniem nie doszedłem do niczego; słuchając, dowiedziałem się nie wiele, lecz przypatrując się, o! to co innego!.. Ani pan przypuszcza, jakiej ostrości nabierają nasze oczy, gdy całą uwagę skupiamy we wzroku. Patrzyłem!... Przyglądałem się wszystkiemu z niezwykłem napięciem, z namiętnością jak ten, którego wszystkie zmysły skoncentrowały się w źrenicach. Cała moja inteligencya, cała wola zbiegły się w oczach, które pracowały same, bez pomocy innych zmysłów. I ujrzałem jedną rzecz, którą trzeba widzieć zaraz, gdyż jutro... dzisiaj wieczór, a nawet za godzinę może już jej nie będzie.

— Cóż to jest takiego?

— Jeżeli pan zechce wrócić na kilka kroków, ujrzy pan to nie tak wyraźnie wprawdzie jak ja, gdyż przez te godziny mogło już zatrzeć się, na tyle jednak jeszcze widoczne, iż żałować pan będzie, że wcześniej nie zwrócił uwagi na to — rzeczą tą jest bowiem odcisk na ziemi stopy ludzkiej, drobny, niedostrzegalny prawie ślad.

— Wracajmy — rzekł żywo komisarz.

Coche towarzyszył mu. Gdy postawił nogę na piasku alei i przypatrywał się odbiciu swych stóp, doznał nieokreślonego uczucia zadowolenia, ale zarazem i strachu. Podłużny wąski ślad różnił się znacznie od tego, jaki pozostawił po sobie jego szeroki trzewik amerykański; zazwyczaj przy pracy i ciągłem wychodzeniu do miasta nosił trzewiki z szerokimi nosami, wieczorem tylko przywdziewał delikatne obuwie na cienkiej podeszwie dla uwydatnienia swych zgrabnych, małych nóg, które mi się szczycił.

Komisarz, pochylony nad trawnikiem, badał ślady. Słońce rzucało prostopadłe swe promienie, z których jeden padał właśnie na odcisk.

— Proszę o centymetr, ołówek — tylko prędzej! — wołał komisarz, przyczem nie obracając się, wyciągnął rękę po żądane przedmioty.

— Ołówek mam — rzekł komisarz, podając go, brak tylko centymetra.

— Niech się pan zaraz postara o jaki przyrząd do mierzenia. Panie Coche, pan ma aparat fotograficzny?... czy może pan zrobić jedno zdjęcie z tego śladu?

— Chętnie, lecz fotografia będzie bardzo niedokładną, zdjęcia bowiem przedmiotów leżących na ziemi zazwyczaj nie udają się, do tego używa się specyalnych aparatów. Zresztą, jak pan uważa, odcisk nogi na murawie staje się z powodu operowania słońca z każdą chwilą coraz mniej wyraźnym. Niech pan komisarz przyjrzy się, jak cały odcisk obcasa zanikł prawie zupełnie. Jaka szkoda, że pan nie wyszedł wcześniej.

W głębi siebie doznał jednak pewnej, nawet dość znacznej ulgi. Przez kilka minut zdawało mu się, że tych troje ludzi ukradkiem przypatruje mu się bacznie, jak gdyby w jego wielkich trzewikach odgadywali zgrabną, małą nogę, która poprzednio zostawiła tutaj swój odcisk. Właściwym jego celem było przecież dać się aresztować, lecz in chwila ta wydawała się bliższą, tem usilniej starał się ją od siebie oddalić. Sprawiedliwość przedstawiała mu się teraz jako straszna siła, jako polip o stu ramionach, który z objęć swych nigdy ofiary żadnej nie wypuszcza. Czuł jednak dobrze, iż dla należytego doprowadzenia do skutku swego zamiaru, winien być tak długo wolnym, jak sam tylko zechce, a dać się uwięzić wówczas dopiero, gdy uzna, że chwila odpowiednia już nadeszła. To też, gdy komisarz niezadowolony z siebie, odezwał się do niego:

— Zresztą odcisk ten mógł kto z nas pozostawić. Sekretarz, który szedł z lewej strony koło mnie, mimowoli postawił nogę na gazonie...

Coche zadowolony z pomyłki komisarza, odrzekł obojętnym tonem:

— O ile mogę twierdzić, zdaje mi się, iż nikt z panów nie szedł po murawie. Gdyście przechodzili przez ogród, patrzyłem za wami i byłbym to, jak sądzę, zauważył... Jednej jednak rzeczy jestem najzupełniej pewny, a mianowicie, iż odcisk ten, gdym go po raz pierwszy ujrzał, był jak najwyraźniejszy. Obecnie jednak lepiej o tem i nie wspominać.

To ostatnie zdanie uspokoiło komisarza. Było mu nieprzyjemnie, iż mógł mu kto zarzucić, że on, komisarz policyi, okazuje mniej spostrzegawczości, niż zwykły dziennikarz. Fakt taki mógł zaszkodzić jego awansowi, wdzięczny był też Coche'owi za porzucenie tego tematu, odezwał się więc do niego po przyjacielsku:

— Niech pan siada ze mną do dorożki. Dosyć będzie czasu, by panu wszystko dokładnie opowiedzieć.

— Wolałbym — odrzekł Coche, czując komisarza w swej mocy — obejrzeć razem z panem samo miejsce zbrodni. Szczegóły, jakie mi pan poda, są bezwarunkowo cenne, lecz gdy za godzinę zjawi się w pańskiem biurze który z moich kolegów, będzie pan zniewolony opowiedzieć mu to samo.

Ciąg dalszy nastąpi).

Nadesłane.

(Za rubrykę niniejszą Redakcya nie przyjmuje odpowiedzialności)

Zagadki do nagrody.

Szarada.

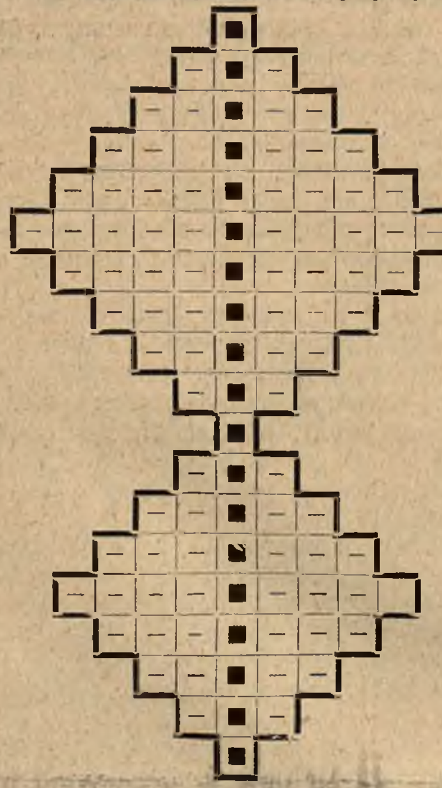
Ułożył prof. H. Osuchowski, Kołomyja.

Pierwsze, piąty przypadek tego rzeczownika,
Którym często niejeden na drugiego krzyka.
A ty, co hojnie płyniesz przeogromną strugą,
Zniszczona teraz ogniem, gdzieś jest piąta z drugą?
W zimnych Sybiru lodach trzecia z ósmą bieży.
I już kilka pokoleń naszych nad nią leży.
Czwarte zdobi wspaniale nasze stare lasy,
Pamięta krwawe boje i zamierzchłe czasy.
Cieszy się każdy kmiotek, widząc piąte trzecie,
Kiedy piękne i bujne przedewszystkiem w lecie.
Ósma z szóstą to główna część w każdym kościele,
Pomieścić nieraz może ludzi bardzo wiele.
Siódmej szukaj w zaimkach i rodzaju żeńskim,
Czasem również w nijakim, a nigdy nie w męskim.
Całość — piersi rosną zwycięstwem, serca idą w górę,
Trzy miejsca, kędy Prusom tęgo zbito skórę.

Logogryf.

Ułożył Izydor Zirler w Rohatynie.

Kwadraty i kreski zastąpić literami w ten sposób, aby litery wstawione w miejsce kwadratów, a czytane z góry na dół dały nazwisko i imię niedawno zgasłego sławnego poety-malarza.

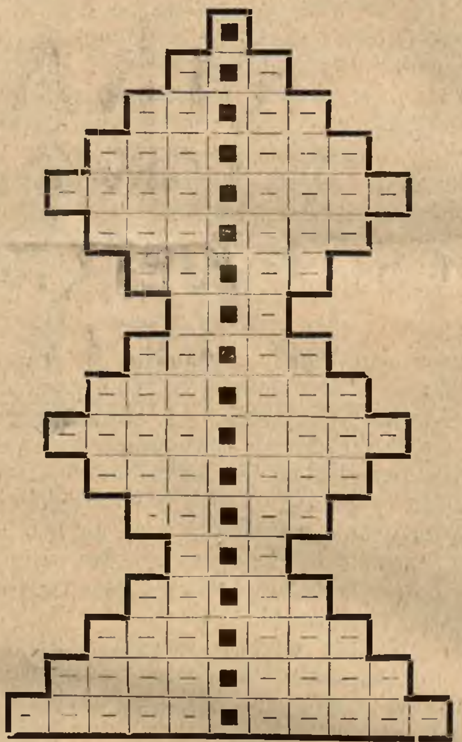


Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska. 2. Zwierzę ssące (parzystokopytne). 3. Rzeka w Galicyi. 4. Miasto na Węgrzech. 5. Imię męskie. 6. Miasteczko na Podlasiu. 7. Nałóg. 8. Sławny poeta niemiecki. 9. Silna burza, także pseudonim współczesnego pisarza. 10. Ptak z rodzaju wróblowatych. 11. Spółgłoska. 12. Zaimek pytajny. 13. Rzeka lub miasto w Galicyi. 14. Towarzysz Mickiewicza. 15. Imię męskie. 16. Miasto obwodowe w Galicyi środkowej. 17. Rzeka w Rosyi. 18. Skorupiak. 19. Spółgłoska.

Logogryf.

Ułożył A. Rotter, Stanisławów.

Kwadraty i kreski zastąpić literami w ten sposób, by litery wstawione w miejsce kwadratów, a czytane w pionowym kierunku z góry na dół utworzyły znane przysłowie polskie.

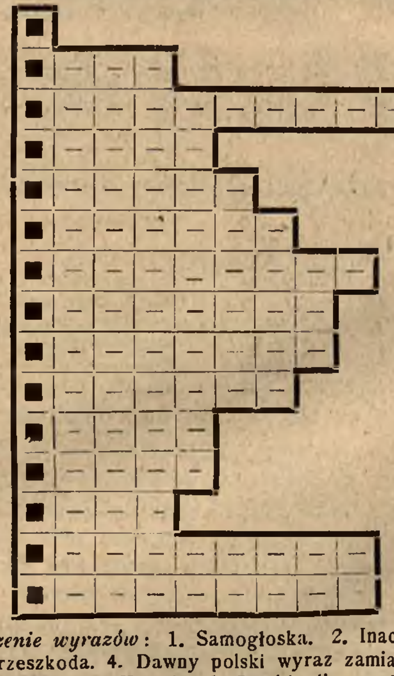


Znaczenie wyrazów: 1. Samogłoska. 2. Hymn pochwalny. 3. 3. Ptak domowy. 4. Roślina. 5. Imię żeńskie, 6. Przyrząd niezbędny na okręcie. 7. Kurtyzana grecka. 8. Przeciąg czasu. 9. Inaczej hreczka. 10. Roślina ozdobna. 11. Tytuł dramatu Słowackiego. 12. Rodzaj gry na szachownicy. 13. Przyrząd do śrubowania. 14. Wykrzynik. 15. Ozdobne naczynie do picia. 16. Miejsce gdzie biją monety. 17. Nazwisko poety polskiego. 18 Inaczej Królestwo Polskie.

Logogryf.

Ułożyli Czwartek i Piątek z nad Stryja.

Kwadraty i kreski zastąpić literami w ten sposób, by litery zastępujące kwadraty, czytane z góry na dół dały imię i nazwisko znanej powieściopisarki polskiej.



Znaczenie wyrazów: 1. Samogłoska. 2. Inaczej Polak. 3. Inaczej przeszkoda. 4. Dawny polski wyraz zamiast krzesło. 5. Góra i przylądek na Krymie. 6. Ogród oliwny. 7. Sala jadalna w klasztorach. 8. Przyrząd do czesania koni i bydła. 9. Sławny matematyk w starożytności. 10. Miejsce turniejów. 11. Zwierze w rodzaju gryzoniów. 12. Twierdza nad Dunajem. 13. Drogi kamień. 14. Śpiewak i kapłan litewski. 15. Łaciński wyraz, spolszczony, oznacza przeciwnika.

Zagadka sylabowa.

Ułożył Artur Bocsoń, Bóbrka.

Nie zmieniając porządku liter, wyjąć z każdego po kolei słowa, część jego, stanowiącą osobny wyraz, a początkowe ich głoski, czytane z góry na dół dadzą imię i nazwisko bohatera polskiego z czasów najazdu Szwedów na Polskę w XVII. wieku.

Wyrazy: Katarakta, ultramaryna, zagadka, muchomor, konserwatysta, atom, milyard, Kanada, terkotka, Grochów, zdrajca, godność, Genewa, Krescenty, demokracya, wikary.

Logogryf.

Ułożył A. Bocsoń, Bóbrka.

Kwadraty i kreski zastąpić literami w ten sposób, by litery początkowe i końcowe, czytane w pionowym kierunku, z góry na dół, utworzyły cztery nazwiska malarzy polskich.

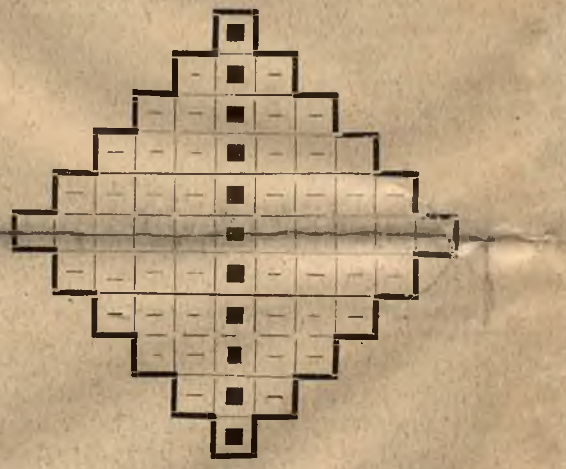


Znaczenie wyrazów: 1. Rodzaj gliny. 2. Minerał. 3. Godność w Polsce. 4. Miara i trunek. 5. Przeciwieństwo do praktyki 6. Inaczej tułów. 7. Ranga wojskowa. 8. Dopływ Wełtawy. 9. Biblijny bohater znany z niezwykłej mocy. 10. Inaczej niedorzeczność. 11. Zegar grający.

Logogryf

Ułożył S. W.

Kwadraty i kreski zastąpić literami w ten sposób, by litery wstawione w miejsce kwadratów, a czytane w pionowym kierunku z góry na dół utworzyły nazwisko pisarza polskiego.



Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska. 2. Pisarz chorwacki. 3. Pisarz polski. 4. Jeden z biskupów krakowskich. 5. Poseł do Rady państwa. 6. ? 7. Męczennik polski 1863 r. 8. Pisarz polski. 9. Przydomek jednego z pisarzy polskich. Sport. 11. Samogłoska.

Za trafne rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya Conana Doyle: **»Przygody sławnego detektywa Sherlocka Holmesa«** (10 tomików).

Od Redakcyi.

Redakcya uprasza P. T. Amatorów nadsyłających szarady, łamigłówki, a głównie logogryfy, by raczyli nadsyłać je po dokładnem sprawdzeniu, gdyż poprawianie omyłek bardzo dużo zabiera czasu. Redakcya zawsze chętnie w miarę miejsca umieści nadesłane utwory.



Rozwiązanie zagadek z Nru 31.

Szarada.

Mazurki.

Logogryf.

Dalmacya. zegarek, infuła, aster, doża. y.

Dziady.

Zagadka.

Sewer, Matka.

Dobre rozwiązanie nadesłali Pp: J. Antosz Kraków, Z. Gruszczyńska Czarna wieś Emilia Załulińska Olszanica, K. Korski Lwów, A Bocsoń Bóbrka, J. Wielgus Kalwarya, O. Górkowa Chyrów, J. Grotkowski Kraków, Anna Rejman Łąka, B. Ramułtowa, A. Gajer i R. Langer Czerniowce, T. Kopystyński Lwów, J. Diehl Stryj, M. Fuchs Kraków, R. Jaworski Kraków, J. Możdżeński Wiedeń, B. Leszczyński Borysław, II. Kijeńska Łódź, A. Woyde Warszawa, Z. Wojtkowska Tarnopol, Sołtykowski Stanisławów, M. Rożański Lipinki, J. Dobrzelewska Warszawa, O. Thorn Podgórze, I. Szymborski Warszawa, W. Muszyński Lwów, K. Fuchs Czeremchów, E. Katarżyńska Kraków, J. Nowicki Włocławek, S. Ktwalski Kalisz, A. Biliński Tarnopol. J. Pieniążek Lwów, E. Rittigstein Czerniowce, G. Steinhardt Suczawa.

Nagrodę przez losowanie otrzymał E. Rittigstein Czerniowce. Prosimy o nadesłanie 35 hal. na koszta prresyłki.